...IEDZEWI...
...E
...ZA.
...KA
...POR.

# NIEZABUDKA

# NOWOROCZNIK,

wydany przez

*J. Barszczewskiego.*



W PETERSBURGU.

Odciśnięto u K. Kraja.

1840.

**ПЕЧАТАТЬ ПОЗВОЛЯЕТСЯ**

съ тѣмъ, чтобы по напечатаніи представлено было въ Ценсурный Комитетъ узаконенное число Экземпляровъ.

С. Петербургъ 16 Октября 1839.

*Надворный Совѣтникъ Г. Дукшта-Дукшинскій.*

# SPIS RZECZY.

. . . . . Biada życiu, gdy ze snu nie budzi
Ani żądza, ni praca; gdy w kim serce bije
Dla tego że krew płynie; kto bez jutra żyje,
Wlecze się bez nadziei, niknie bez pamiątek;
Od starej to świątyni oderwany szczątek;
Do gmachu nie przystanie, na ziemi zawadza. . . .

*Józef Korzeniowski.*

# Wyjazd.

## *Dumka.*

Rżał pod siodłem koń mój kary,
Błogosławił ojciec stary,
Siostry kołem smutne placza
Bo mie może nie zobacza.
    Brytan zawył mój,
    Smutny szemrze zdrój,
Słońce gaśnie za górami
Widać droge za łakami.

Widać drogę — w bok dąbrowa,
Tuman wzleciał, grzmi podkowa,
W dołach bydła ryczą stada,
Na doliny zmrok się wkrada.
Pędzi konik mój,
Ach mój kary stój,
Ach nie gaśnij słońce moje,
Jeszcze podnieś oko twoje!

Ty mój koniu szczyp trawczki,
Czystą wodę pij u rzeczki,
A ty słońce — ach! ja ciebie
Ujrzeż kiedy na tem niebie?
Zniknie nocy cień
Zejdzie jasny dzień,
Zejdą ranki i miesiące,
Mnie nie będzie na tej łące.

Poświeć, poświeć lube słońce,
Nad doliny oba końce,
Niech dąbrowa poszeleści,
Niech się serce me napieści;
Jęcz strumieniu, jęcz,
Dźwięcz skowronku, dźwięcz,
Swego druha pożegnajcie,
Czasem druha wspominajcie!

A ja zerwę niezabudkę,
Niezabudkę tę malutkę,
Jej to kwiatek ulubiony,
Pójdź kwiateczku w obce strony,
Żegnaj luba błoń,
Tak ci zwiędła skroń!
Ujrzymyż kiedy to błonie,
Spoczniesz-li ty na jéj łonie?

Oświeć, oświeć złote słońce
Lubej wioski wszystkie końce,
Oświeć miłe okieneczko,
Niech pożegnam ją chusteczką.
Ach! już zagasł dzień,
Po nad wioską cień,
Dalej kary ta dąbrowa,
Gwiazdy świecą — chłodno, zdrowo.

*W. Dawid.*

# HYMN PRZYRODZENIA.

Samotnie na góry siedziałem ja szczycie,
U dołu ciemności kobierce sie słały,
Nademna gwiaździste sklepienia błyszczały,
I księżyc się toczył po mdławym błękicie;
I myśli me w górne dażyły przestrzenie,
I fale jeziora modlitwe szumiały,
I w gaju słowiki piosenki śpiewały
I dźwięcznej melodyi zlewały strumienie.
I góry i lasy, doliny i brzegi,
I fale szumiace pieknego jeziora,
I ciemność bezdenna smutnego wieczora,
I gwiazdek złocistych gromadne szeregi.
I wszystko, wszystko — świat cały
W harmonii wtórzył mi chóry,
I wskroś ciemności chmury
W inny kraj myśli się lały! . . .

Szczęśliwy kto rzuci te ziemskie odzienia,
I w dali od świata zapomni o życiu,
I wodze swym myślom puściwszy w ukryciu
Podsłucha sam na sam mowy przyrodzenia.
Jeden głos usłyszy tam —
— Głos sławy i dziekczynienia
I całej natury pienia:
Bo tam ...... BÓG sam!

*Antoni M. Żołkiewicz.*



# Perła Toledu.

## Ballada Hiszpańska.

* *
*

Kto mi odpowie: słońce jaśniejsze
Czy o zachodzie czy rannym wschodzie,
Kto mi odpowie: z drzew najpiękniejsze
W jakim na ziemi rośnie ogrodzie,
Czyli Walencya, czy Andaluzya
Wydaje więcej dzielniejszych ludzi?
Kto najpiękniejsza wskaże dziewicę? . .
O, nad Aurore Wargas z Toledu
Jestże dziewica, piękniejsze lica,
Piękniejsze oczy któraby miała,
Któraby wiecej wzrok czarowała
I jak Aurora **P e r ł a** się zwala?

Czarny Tuzani wziął lance w dłonie,
Tarcze prześliczna na ramie zwiesił,
Wszedł do swej stajni, spojrzał na konie,
— Czterdzieście dzielnych liczył on koni —
Rzekł: — »Moje Berye wiatr nie przegoni,
»Na swoim karku ona uniesie
»Perłę wraz ze mna z granic Toledy
»I badź mi zdrowa Hiszpania wtedy.« —

Rusza i wkrótce w Toledo stanie,
Spotyka starca: — »Słuchaj mój stary,
»Zanieś ten bilet Don Gutierowi,
»Don Gutier możny pan na Saldauie,
»Rycerz waleczny mi nie odmówi,
»Przyjmie natychmiast moje wyzwanie,
»I do fontauny Almam przybedzie
»Walczyć kto z dwojga Perle posiedzie.« —
I starzec zaniósł list Gutierowi;
Hrabia grał w szachy z Perła w tej chwili,
Przeczytał bilet: »Zgoda« odpowie:
»Miecz mój w pierś wroga nigdy nie myli.« —
— Dou Gutier, rzecze piękna Aurora,
Graj w szachy. — »Teraz w szachy nie pora,
»W miecze grać bedę tam przy fontannie;«
I łzy Aurory wstrzymać nie w stanie;
Bo cóż rycerza zatrzymać zdoła
Kiedy go honor do boju woła!
Dosiadł rumaka i skoczył śmiało,
Za uim tajemnie piekna Aurora.

W koło fontanny darń się rumieni,
Woda fontanny równie rumiana,
Ale nie od krwi to Chrześciana;
To czarny Maur śród krwi strumieni
Leży na darni lanca przeszyty,
I krew mu płynie z głębokiej rany.
A dzielna Berya stoi nad panem
I smutnie głowę zwiesza ku ziemi.

Perła zstępuje z swojego muła:
»Będziesz żyć, rzecze, mężny Tnzani.« —
— O perło piękna, o perło czuła,
Wyjm ten morderczy oszczep co rani
I szarpie moje boleśnie łono. —
Schyla się oszczep wyjąć dziewica,
Ale Maur mściwy siły dobywa
Osłabła ręka za miecz porywa
I piękne Perły rozcina lica. —

*Antoni M. Żołkiewicz.*



# Rodzina.

Z głową na piersi skłonioną,
Śród cichej nocy milczenia,
Obudzam dumą stęskniona
Dawnego szczęścia wspomnienia:
I przed oczami stanęła
Kraina pełna uroku,
Gdzie moja młodość spłynęła
Jak ciche wody potoku.
Zda się że w cieniach wieczora
Błyszczą się ognie miasteczka,
Że słyszę dzwonek klasztora,
Że w dali srebrzy się rzeczka,
Że z tąż jak niegdyś rozkoszą
Piję ją słodycz tej chwili,

Że echa śpiewy roznoszą,
Wieśniacy z pól już wrócili,
I noc swą szatą obleka,
I serce rozkosz przejmuje,
Głucho młyn szumi zdaleka
I srebrne szarfy wód snuje.
Zda się że słyszę z za rzeki
Psów przerywane szczekania,
Turkot gdzieś wozów daleki,
Potém żniwiarzów śpiewania!
I znowu wszystko w cichości,
Liść nawet nie drgnie u drzewa,
W powietrzu pełném wonności
Jakaś sie rozkosz rozlewa.
Mgła lekka pokrywa gaje
Wzgórza i wsie okoliczne,
I blask księżyca nadaje
Jakieś kształty fantastyczne,
I dziwnie w mglistej oddali
Białe sie mury wydają ....
Tam lampa blado się pali ...
Tam moje siostry mieszkają!

*W. Roman.*

## *Wieczorny dzwon.*

### z Kozłowa.

Wieczorny dzwon! wieczorny dzwon!
Jak wiele dum obudza on!
O młodych dniach, o miejscach tych
Gdziem kochał ja, gdzie ojców dom,
Gdzie przyjaciele żegnając was
Słyszałem dzwon ostatni raz!

Nie ujrzę już tych szczęsnych dni
Choć pamięć ich tak świeżo tkwi,
I wieleż, ach! nie żyje już
Wesołych tych i młodych róż,
I żaden ich nie zbudzi ton,
Nie zbudzi ich wieczorny dzwon!

Czeka i mnie podobny los,
Żałobna pieśń i smutku głos
W dolinie wiatr rozniesie wzdłuż,
I przejdzie poń wieszcz inny już,
I już nie ja — lecz będzie on
Opiewać w dumach wieczorny dzwon!

Wilno,
5 Maja 1838. *Stanisław Lachowicz.*



## Zyczenie.

Czy znasz te strony szczęśliwe
Gdzie wieczna wiosna panuje,
Gdzie przyrodzenie życzliwe
Wszystkie swe dary zsypuje,
Gdzie z czystych niebos błękitu
Łagodny wietrzyk powiewa,
Gdzie dosięgając gór szczytu
Złoty winogron dojrzewa?
Tam, tam ja chciałbym w młodości być!
Tam życiem przyjemnem lat kilka żyć.

Czy znasz tę stronę ubogą
Gdzie zima przykra i długa,
Gdzie ziemia cięzka przestrogą
Przykuła ludzi do pługa,

Gdzie, jakby dawnych lat stróże,
Sosnowe puszcze się wznoszą,
Gdzie częste słoty i burze
Zachodnie wiatry nanoszą?
Lecz choć to strona uboga,
Choć dzikie puszcze w niej drzémią,
Ona mi droga! zbyt droga,
Bo jest rodzinna ma ziemia!
Tam, tam ja chciałbym pod starość żyć!
Tam nawet po śmierci zarytym być.

Czy znasz tę stronę do której
Ciernista ścieżka prowadzi,
Po górze stromej, ponurej,
Która niewszyscy iść radzi?
Lecz kto ją przebyć raz zdoła
Wnet znikną troski, cierpienia;
Przy wiecznéni życiu tam zgoła
Nigdy się szczęście nie zmienia!
Tam, tam ja chciałbym po śmierci być,
Tam wytchnąć po trudach, tam wiecznie żyć!

*Ludwik de Perthées.*

# Wspomnienie.

do Augusty Ż . . . . . . ic z.

Pamiętasz-li ten kraj, te kwieciste obszary,
Gdzie wonny maj szczodre rozléwa dary,
Gdzie brzeczy gaj słodkiem słowika echem,
Gdzie wiecznie raj co nieba tchnie oddechem.

Pamiętasz-li ten śpiew, co się gdzieś tam odzywał
Ten chłód cienistych drzew, co cię w obięcia wzywał,
Ten róży wonny krzew co się rumienił wdali
Ten wody lekki gniew, gdyśmy po niej pływali?

Pamietasz-li tych gór porozdzierane szczyty,
Co kryły sie śród chmur, śród niebios mdłe błekity,
Pamiętasz-li ten bór, czarny jak paszcza piekła
Kiedy mu w straszny chór wtórzyła burza wściekła?

Pamietasz-li ten czas, te złote szcześcia chwile,
Które dla szczesnych nas tak upływały mile,
A teraz ciężki głaz zimny jak lodu tchnienie
Przyciska srodze was przeszłego szczeście cienie! . .

*A. M. Zołkiewicz.*



# Sonet
## *dla W. P. Bujnickiej.*

Gdy w nocy szumia wiatry, niebo skryja chmury,
Gdzieniegdzie płomyk gwiazdy za gestym obłokiem
To się zaćmi, to błyśnie daleko przed okiem,
Dusze w smutku pograża ten widok ponury;

I na tym kręgu ziemi kiedy nieszczęść chmury
Zasępiaja spokojność myśli swoim mrokiem,
Szlachetna duszo, rzadko ty błyskasz przed okiem
Jak podczas ciemnej burzy piękna gwiazdka z góry.

Jeżeli kiedykolwiek losów przeznaczenie
Oddali mię w odległy koniec obcej ziemi
Dójrze pamiecia twojej dobroci promienie.

I przeszłość wspominajac myślami mojemi,
Powiem gdy los niestały teskność we mnie wzruszy,
Znałem szczera uprzejmość, znałem dobroć duszy.

*J. B.*

## *Strzelba zaczarowana.*

### (z podania Illyryjskiego.)

Bej Sawa ma strzelbę przecudnej roboty,
I każdy ją dziwem być mieni,
Dwanaście pierścieni otacza ją złotych,
I srebrnych dwanaście pierścieni,
Jej kolba sadzona we wzory perłowe,
U kolby trzy wiszą kutasy różowe.

Są strzelby zarówno bogate w ozdoby,
Co mają kutasy różowe,
W Bośniackich zbrojowniach są pewne sposoby
Jak wzory nasadzać perłowe;
Lecz gdzie taka strzelba jak strzelba Bej Sawy,
Że każda jej kula przynosi zgon krwawy?

Nie oparł sie Delhi w kolczudze ze stali,
Ni Arnaut w kaftanie bawolim,
Obadwa na placu bojowym zostali,
Nie spojrza już wzrokiem sokolim;
Kolczuga przerwana jak sieć pajeczyny,
A kaftan bawoli jak listek leszczyny.

Najpierwszy z Bośniaków z urody sławionych,
Broń Dawnd na ramie zawiesza,
Zdejmuje najlepsza z swych geśli złoconych,
Do Beja krainy pośpiesza,
I nabrał cekinów i puścił się śmiele,
I w Piatek wyjechał a stanał w Niedziele.

Wział geśl i zaspiewał, wkrag niego staneła
Drużyna rzuciwszy zabawy,
Gdy miłość opiewał — nie jedna westchneła;
Nastazya zaś córka Bej-Sawy
Rzuciła mu bukiet, rumieńcem powlekła,
I wstydem okryta do domu uciekła.

I w nocy u Beja okienko brzękneło,
Błysneła Nastazyi sukienka
A niebo sie wdali zachmurzać poczeło,
A Dawud spogladał w okienka;
Gdy na dół na niego patrzała schylona,
Czapeczka z jej głowy zleciała czerwona.

Wraz Dawud czapeczkę podnosi z pośpiechem
Cekinów w nią sypie garściami,
I pięknej oddaje Nastazyi z uśmiechem,
A burza nadchodzi z grzmotami:
»Czy widzisz jak piorun po górach tych spłynął,
Pozwolisz-że w burzy bym w oczach twych zginął?«

I piękna Nastazya przepaskę zdejmuje
Jedwabną i zwiesza z krużganka,
Szczęsnego Dawuda już nic nie wstrzymuje,
Nastazya w objęciach kochanka.
— »Mów zcicha, mów zcicha, bo gdyby nas dwoje
Usłyszał mój ojciec, zabiłby oboje.«

I zcicha już potém mówili do siebie,
A w końcu i nic nie mówili . . .
Lecz oto jutrzenka zabłysła na niebie,
I Dawud wychodzi tej chwili,
Nie wzruszon nadobnej Nastazyi prożbami,
Wychodzi i znika pomiędzy górami.

I co dzień powracał jak tylko powstała
Noc czarna na niebios błękicie,
I co noc jedwabna przepaska wisiała
Czekając na jego przybycie;
Do świtu jutrzenki z swą miłą przebywał,
O świcie wychodził i wgórach się skrywał.

Piatego dnia przyszedł skrwawiony i zbladły,
I mówił Nastazyi w tych słowach:
»Wieczorem mnie w górach Hajduki opadły,
A jutro zabija w parowach;
Gdy przyjdzie sie rozstać, gdy słońce zabłyśnie,
Ostatni raz ciebie twój Dawud uściśnie.

Lecz gdybym miał z soba te strzelbe magiczna
Co stary twój ojciec posiada,
Z ta strzelba ich bandę rozproszyłbym liczna,
Jej kula napróżno nie pada;
I znowubym z toba ma droga, przebywał,
Do świtu sie bawił, o świcie sie skrywał.«

— »Lecz jakże jej dostać, Nastazya odpowie,
W dzień ojciec na ramie ja kładzie,
I w nocy podobnież ma zawsze przy sobie,
A jeśli sie dowie o zdradzie,
O! wtedy mnie biedna zabije zapewne«
I z pięknych jej oczu płynęły łzy rzewne.

— »O! nie płacz ma droga, rzuć próżne obawy,
I teraz gdy noc cię okrywa,
Gdy promyk księżyca nie świeci bladawy,
I stary twój ojciec spoczywa,
Idź, weź strzelbe ojca a położ mu moje,
On zmiany nie dojrzy i weźmie za swoje.

Bo strzelba ma również przecudnej roboty,
I każdy ją dziwem być mieni,
Dwanaście pierścieni otacza ją złotych
I srebrnych dwanaście pierścieni,
Jej kolba sadzona we wzory perłowe,
U kolby trzy wiszą kutasy różowe.«

Na palcach, po cichu, swe tłumiąc westchnienia,
Wychodzi trwożliwa dziewica
W komnaty ojcowskie, tam strzelby przemienia,
I strzelbę wynosi Rodzica,
Bej spał niespokojnie i przez sen coś gadał,
Lecz się nie obudził i broń swą postradał.

A Dawud szczęśliwy w poranną godzinę,
Gdy złotem świt góry powlekał,
Wziął strzelbę na ramię, uścisnął dziewczynę,
I wrócić nazajutrz przyrzekał;
Dziewczyna wierzyła — on w Piątek ją rzucił,
I w wieczór w Niedzielę do domu powrócił.

»Ja stary i słaby, lecz wrogi mej wiary,
Jeszcze strzelby mojej się boją«
Tak mówił Bej Sawa, nie wiedział Bej stary
Że strzelbę posiadał nie swoją.
A co noc przepaska Nastazyi wisiała,
Lecz próżno na zdrajcę Dawuda czekała.

»Psy Turki są w kraju, Dawud-Aga ich wiedzie,
Cała ogniem płonie kraina,
On wszystkich zwycięża, z nim czarny Negr jedzie,
I uszy poległych obrzyna.«
I wszystko w Wostynie do boju wnet stawa
I młodzi i starzy; na czele Bej Sawa.

I wkrótce w Wostynie bój srogi się wszczyna,
Nastazya z okienka swojego
Poznaje Dawuda jak konia on wspina,
By spotkać jej ojca starego.
Bej strzelił — napróżno — z panewki spaliło,
Bej zadrżał; raz pierwszy go szczęście zdradziło.

I Dawud z kolei z swej strzelby wypalił,
I kula kaftany bawole
I piersi przeszyła; Bej z konia się zwalił,
I oczy zagasły sokole.
Wraz głowę niewolnik oderżnąć pospieszył,
I za siwe wąsy u siodła powiesił.

I widzi Nastazya śmierć ojca starego,
Nie płacze, lecz zbroję zawiesza,
I konia dosiada jej brata młodszego,
I mścić się i walczyć pospiesza,
Dawuda chce zabić, ten widząc rycerza,
Swą strzelbę magiczną ku niemu wymierza.

I kula śmiertelna wraz trupem ja kładzie,
Nastazyi zawarły sie oczy,
Niewolnik ściał głowe, i spadły w nieładzie
Zawoje złocistych warkoczy.
I poznał ja Dawud i z konia zstępuje,
I głowe potrzykroć skrwawiona całuje.

»Sto dałbym cekinów, ze łzami zawołał,
Za każda kropelkę krwi lubej,
Poświęciłbym życie, bym wskrzesić ja zdołał,
Bym nie był przyczyna jej zguby.«
I długo on płakał nieszczęsnej dziewczyny,
I strzelbe swa w bagnach utopił Wostyny.

*W. Roman.*



# Messyna.

Ledwie na czysty błękit jasne weszło zorze,
I świetne swe promienie rzuciło na morze,
Gdy lekkim wiatrem słabo kołysane fale
Na wspaniałym się wzniosły wód morskich kryształe,
Posłuszny więc im żeglarz wpłynął na głębiny,
Tracąc zwolna z przed oczu Italii równiny;
Wdali tylko czerniały Apeninów szczyty
Jak lekki na obłokach wieniec z mgły uwity.
Lecz wkrótce wiatr silniejszy powierzchnią wód wznosi,
Od wschodu ciemna chmura zwolna się podnosi.

Słońce sie w obłok kryjc, i wybladle cienia
Zajmuja miejsce światła. Wszystko postać zmienia:
Wszędzie czarna powłoka, groźna chmura błyska,
Szumny wicher powstaje i grzmotami ciska;
Rwie bruzdy i w bezdenne wdziera się zapory;
Wzburza spokojny żywioł i w pedzie swym skory
Targa żagle, maszt łamie i wzniosłszy wód fale,
Pedzi okret w pół zbity ku wyniosłej skale.
Szturm nagle sie podwaja, wznosza sie bałwany,
Zdaje sie ze Wszechmocny na świat zagniewany
Spuszcza srogie pioruny; straszny grom wypada
I z chmur gniotacych morze grad ogromny spada.

Stawia żeglarz maszt nowy: śród straszliwej nocy
Wzywa opieki nieba i ludzi pomocy,
Ale wzniesiony bałwan cały okret skrywa,
Grazy go na dno morskie, znów na wierzch wyrywa,
Kruszy o twardy granit i złomy rozrzuca,
Stargane liny z masztem w obłoki wyrzuca.
Wreszcie srogi uragan wód morskich przestrzenie
Porzuca, i na lady niesie spustoszenie,
Nie dosyć mu już smutnej na morzu ofiary,
Chce jeszcze zniszczyć miłej Sycylii obszary

Niewstrzymany w impecie, wijac strasznym kłebem
Wpada na brzeg wyniosły i z odwiecznym debem
Wszczyna gwałtowna walke; cały wieniec zrywa,
Łamie drzewo na cześci i z gruntu wyrywa.

Pustoszy żyzne pola, rolników osady,
Zwala domy lub bije trzód liczne gromady,
Dosięga w końcu Etny; tu zdwaja swe wały
Łamie i rzuca w przepaść skrzepłej lawy skały.
Leci z gór wody potok, rozkoszny las zmiata,
Niszczy wszystko i w ciemne pieczary ulata.

Wewnątrz ziemi grom słyszeu i popiołu chmury
Zaciemniając powietrze wznoszą się do góry;
Ognistej lawy potok za potokiem ściga,
Upada grad kamieni, straszny płomień miga
Między dymu czarnego kłęby sciśnionemi,
I rzuca słabe swiatło mgłą pokrytej ziemi.
Nagle zadrżały lądy, pochłonęły góry,
Swiątyń i wież odwiecznych zwaliły się mury.
Tak trzykroć już Messyna w gruzy się zamienia,
Trzykroć ginie, i trzykroć nie traci imienia.



# Do ***

*(Fragment.)*

## O Pamiątkach.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Każdego dzielnie wzrusza wdzięczne Twe śpiewanie,
Czy on Mazur czy Litwin lub z Krakusa grodu,
Bo święta starożytność każde serce lubi,
A drzemią jej stóp ślady pośrod Slawian rodu.
Tu szańców w tarń obroslych rząd się w polu gubi,
Tam niemieckiej ostatki zbroi pole sieją,
Dumnych Szwedów skielety wymyte deszczami
Sterczą z mogił i w rzędach długich się bieleją

Nakształt pni suchej brzozy zasutych śniegami.
A wstap znowu na szczyty Krakusa mogiły,
Od Wisły do Stambułu, bagien Zaporoża,
Wieleż kurhanów stepy, błonia, pogarbiły,
I wzdęły sie jak fale zielonego morza.
Tam po polach znów białe kości rozrzucone,
Resztki z dawnej biesiady. I ciche dabrowy
I stepy jak po grzmotach. Lecz wiatry budzone
Rozpoczynaja czasem samotne rozmowy,
Jak słudzy, kiedy goście zasneli pijani.
I żale bisurmanów do wschodu zanosza.
Oj zasneli i wojska, Chany i Hetmani;
I trab wojennych dźwieki ze snu ich nie spłosza.
Wszedzie wież, zamków białe ściela sie zwaliska
Na pół w ziemię zapadłe jak olbrzymów kości;
Z pod kolumn połamanych czasem zdrój wytryska,
Na gruzach kwitnie róża prześlicznej białości,
Nad gruzami szeleści dab z zielouém czołem,
Wieść niesie że tam młodych dwoje leży społem.
Niekiedy gdy sie starców dobierze drużyna,
I puhar Zygmuntowski zacznie chodzić kołem,
Gdy pamieć i rozmowę odmłodzi moc wina,
Gdy powieści zakipia: z gruzów wstaja grody,
Powiewaja proporce, iskrza sie oszczepy,
Brzecza pałasze, pedza rycerze w zawody,
Jeki rzezi, huk armat, powtarzaja stepy,
I Czarnecki szykuje walecznych do bitwy;
Przy oklaskach wracaja z łupem wojownicy;
Lub hołduja przed znaki Korony i Litwy
Bitne ludy, Książeta i Tatarzy dzicy.
Albo Tatar roznosi mordy i pożogi.

I mór srogi wymiata skromne polskie sioła;
Kto ocalał śród lasów, krył sie pełen trwogi,
Ale i tam pohaniec wkrada sie i woła:
»Wychodź Kasiu, Marysiu, już wyszli Tatarzy!«
Nieszczesna! jeśli wyszła myślac że to miły. —
Takie nieraz zdarzenia wspominaja starzy,
I wskazuja ich ślady: gruzy i mogiły,
Którym sie przypatruje wedrownik z podziwem.
Gdybym ja miał ten pędzel, z tem uczuciem żywem,
Co w czarownych twych pieniach świetnie pro-
mienieje,
Spiaca przeszłość w ruinach, swiatubym malował, . .
Tylko tobie to dzieło wypełniać, i z chwała
Nad krajami Lechity lot kierować śmiały,
Za smutnej obecności wzlatywać przedziały,
Bo mnie sie kilka ledwie słów zwiazać udało . . .

*D.*

## Wszędzie Ty.

### w Imionniku J. S.

Gdy wietrzyk leśne porusza zacisze,
Gdy strumyk wdzięcznie mruczy po dolinie,
Zda mi się dźwięki twego głosu słyszę
Zda mi się pieśń twa do duszy mej płynie
I me uczucia kołysze!

Gdy słońce nocne rozpędziwszy cienie,
W wodnych kryształach kąpie promień złoty,
I światła po nich rozlewa strumienie,
Zda mi się widzę twe jasne uploty,
Twych złotych włosów pierścienie!

Gdy zorza morskie opuściwszy tonie,
Z ognistej róży weźmie na się wieniec,
I na szkarłatnym wschodu siadzie tronie,
Zda mi się widzę twój miły rumieniec,
Zda mi się lice twe płonie!

Gdy złoci niebios jutrzenka sklepienie,
Gdy jasny promień jej swiecac z wysoka
Blaskiem swym nocne rozwesela cienie,
Zda mi się promień to twojego oka,
To twe anielskie wejrzenie!

Gdy róża świetne roztoczy zawoje,
I tchnie dokoła balsamiczna wonia,
Kraszac szkarłatem piękne listki swoje,
Zdami się usta twe ten balsam ronia,
Zda mi się tchnienie to twoje!

Gdy niezmaconych wód krynica żywa,
Pod jasnym rabkiem fali przezroczystej
Piękne, złociste dno swoje odkrywa,
Zda mi się obraz to twej myśli czystej,
To twoja dusza cnotliwa!

*G. Szepielewicz.*

# Nad Dunajem.

Gdzie gór szczyty pozłacaja
Gasnacego dnia promienie,
Wsławionego tam Dnuaju
Wieczne leja się strnmienie.

Tam to baja że przed laty
Skoro głucha noc nastanie
Orszak lekkich nimf skrzydlaty
Macił modrych wód otchłanie.

Księżyc słuchał, fale grały,
I z rycerskich dzieł wsławione
Stare zamki spogladały
Z przepaścistych gór zwieszone.

Gwiazdy w niebie im świeciły
Idac zwolna nocna doba
I rozmowę prowadziły
Cicha, głucha między soba.

I samotny po nad rzeka
I zamknięty , jak świetliczek,
W starej baszcie gdzieś daleko
Bladej lampy drżał promyczek.

W dziadów swych zakuty zbroje
Rycerz w zamku czuwajacy
Wsparłszy sie na tarcze swoje
Słyszał w dali szum niknacy.

I gdy urok nocy złudzał,
Gdy go sen przyjemny bierze
Rycerz znowu sie obudzał
Szepcac zcicha swe pacierze.

Dni tych przeciał się już watek
I jak seune znikł marzenie,
I ze sławnych tak pamiatek
Ledwie głuche jest wspomnienie.

Nigdy w nocy już godzinach
Nimf orszaki nie igrają,
Ni w dąbrowach, ni równinach,
Ni śród modrych wód Dunaju.

*W. Roman.*



## *Królowej Duchów.*

Ty jesteś duchów Królowa!
Wymów czarodziejskie słowo,
A duch natchnienia wnet do mnie przyleci,
Gwiazdke dowcipu zaświeci,
Myśl ma w cudne wzniesie strony;
Nieziemska jego moca uniesiony
Wszystkie serca mego burze
Wszystkie życia mego dzieje
W płomiennej mowie wynurze
Ognistym rymem wyleje! . . . .
Schodzi już! . . . schodzi w śrebrzystym obłoku,
Niebieski promień jaśnieje mu w oku,
Złote ma skrzydła, różnobarwna tęcza
Młodzieńcze skronie uwieńcza.

Z ramion przepaske ma z róz i wawrzynów —
— Godło miłości, godło dzielnych czynów —
Lilia cudna girlandę przeplata,
Jak śnieg biała jego szata —
— To godło niewinności, uczucia poety
Błahe, poziome sa bez tej zalety.
W reku ma lutnia; we strony uderzył
W reku ma piorun; do serca nim mierzył.
Lutnia i piorun w rece moje składa,
Strzelił z oka promieniem — ten mi w duszę wpada.

Przebóg! gdzie jestem? co sie ze mna stało?
Precz, gruba powłoko, ciało!
Duch jestem czysty . . . cała moca ducha
Oko me patrzy, ucho moje słucha,
Myśl buja wolno, bez granic,
Wszelkie przeszkody sa za nic!

Królowo duchów! tyś moja królowa!
Wymów — a kazde spełni sie twe słowo!
Chcesz-li? na twe rozkazanie
Spuszcze sie w morskie otchłanie,
Zwiedze ich głębie, tajniki otworze,
Objawie dziwy które skrywa morze.
Chcesz-li? ku gwiazdom wylecę,
Tam nowa gwiazdke zaświece,
Gwiazdke co oka twego zabłyśnie promieniem,
Twem sie zwać bedzie imieniem.
Chcesz li? tam gdzie nie przenika,

Wzrok poziomy śmiertelnika.
Na skrzydłach wyobraźni lotnej się postawię,
Nieznane dziwy objawię,
Nieznana wskaże harmonia świata,
Odkryje przyszłe — zbudzę przeszłe lata!
Na krańcach stworzenia stanę,
Ukażę duchów światy niewidziane! . . .

Podnieś wzrok w górę — wyżej niźli słońce
Sylfów się wiją tysiące!
Zniżają się ku ziemi, nad nią się trzepocą,
Złotém skrzydełkiem migocą.
Promień tęczy — ich odzienie,
A pokarmem — róży tchnienie,
Włosy ich — jutrzenki włosy,
Kąpiela — kropelka rosy!

Spojrzyj w przejrzyste wody głębiny!
Piękne tam żyją ondyny!
Z takiém błękitném, jak twoje, okiem,
Z takim czarownym, jak ty, urokiem;
Taka się róża, taka lilia,
I w ich się licu jak w twém rozwija!
Mieszkania ich z kryształu — groty z konch perłowych,
Przechadzka w czarodziejskich lasach koralowych,
Śpiew ich jest milszy niźli śpiew słowika,
Niźli szmer cichy srebrnego strumyka,
Niż głos łabędzia kiedy przed skonaniem

Swiat melodyjném żegna śpiewaniem,
I tak łechce uczucia, tak się w dusze wlewa,
Jak głos twój wdzięczny słodka gdy miłość opiewa!

Zwróć jeszcze oko! — w łonie niedostępném ziemi
Gnomy składają kruszce kupami wielkiemi,
Gromadzą drogi kamień, znoszą piasek złoty,
Niekształtne ich postacie, nieskładne obroty.
Mieszkańce krain podziemnych,
Wiecznie żyją w lochach ciemnych,
Nie widzą światła słońca — czarnej nocy dzieci!
A błędny tylko płomyk w pieczarach im świeci,
Grube duchy, bez czucia, przylgnione do złota,
Nieznajoma im miłość — niewiadoma cnota.

Lecz cóż te skarby złota — te drogie kamienie?..
Czyliż nie więcej warte, jedno twe spojrzenie?
Gdzież jest rubin tak żywy — jak ust twoich płomień?
Lub w jakim dyamencie, jak w twém oku promień
Jaki szafir lub jaki szmaragd w ziemi skryty,
Przewyższy twej źrenicy niebieskie błękity?...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

*G. Szepielewicz.*

## TAJEMNICZY ANIOŁ

# Jana z Tarnowa.

### I.

Trzy wieki już temu minęło jak jednego pogodnego wieczora niknące słońce złociło szczyty wysokich gór w południowej Portugalii, a u stóp ich pośród zakrętów i rozdołów grzmiała mordercza bitwa Zbyt już przerzedzone tłumy Maurów z zajadłością i rospaczą odcinały się mężnym hufom Króla Emmanuela, uchodząc powoli z tej ziemi, której niedawno byli panami; a uprowadzając żony, dzieci, obładowane muły, zostawiali za sobą trupy, strumienie krwi i szczątki oręża.

Tak postępując po równinie ze wszystkich stron wzgórzami i lasem otoczonej, oparli się nieco pod górą poprzek doliny leżącą, i szybko przedzierali się pomiędzy gąszczem, skałami i ruinami rzymskiego wodociągu na bezpieczniejsze wyniesienie. Tu potrzeba było całej bystrości działania, aby niedopuścić im wejść na tę naturalną cytadellę i w tej chwili śmiertelny im i decydujący cios zadać. Wspiął więc białego rumaka jeden niskiego wzrostu z rycerzy, zmierzywszy bystrem okiem liczbę nieprzyjacioł, pierwszy dążył pomiędzy skały osłaniające przechod barbarzyńców. Wnet ujrzeli nad swémi zawojami błyskawice rzucający jego miecz, a za nim tysiące innych. Znali Maurowie ten miecz rycerza, znali jego odwagę i waleczność. Z przerażeniem więc, okropnym hałasem i wrzaskiem, tłoczyli się i z końmi pomiędzy arkadami wodociągu.

Tu nagle chrześcianie i niewierni zmieszali się, migały stalowe szyszaki pośród turbanów, czasem prysnął do góry złamany miecz, lub jęknął po twardych skałach puklerz, zachwiał się rumak

długogrzywy, lub spadła z turbanem głowa.

Wsród nieładu nieujrzeć było niskiego rycerza ani go rozpoznać w zgiełku. — Lecz w samej chwili watpliwego końca walki z pomiędzy zmieszanych męży, skoczył w bok przez spiczaste skały aż na rownninę na białym rumaku rycerz i w tył pędził doliną ku zakretowi, którym byli weszli walczący. Tuż za nim kilku innych, a między nimi rycerz jakiś na siwym rumaku najbliżej zdążał za niskim rycerzem. — Na lewo bowiem przez wyłom skalisty, którędy przechodził wodociąg, po nad wierzchołkami kasztanowych lasów cichym wietrzykiem kołysanych, co się stamtej strony góry w głębokim jarze słały, ujrzano na zielonej równinie kilku niewiernych, których zawoje bielały się wpółzapadłem oświecone słońcem; krzywe migały w dłoniach pałasze, a czarne rumaki wymiatały na powietrze w lekkim pyle wieczorną rosę. Pojął rycerz, iż prędzej wydobywszy się na owa warowną wyniosłość i zszedłszy wąwozem na równinę, tajemnie po za góra i lasem dążą, aby zabrać tył znacznie już utrudzonym

chrześcianom. Dążył czémprędzej na czele kilku z ochoczej młodzi, skacząc rumakiem po nad rannymi, jęczącymi, po nad trupami mężów, koni i wielbłądów, pośród dział porozstawianych. Dążyli więc dalej skalistym rozdołem, rycerz i z swym hufem, aby ubieżyć skradających się nieprzyjacioł. Pędem wiatru wybiegł na grzbiet pagórka ograniczającego owę dolinę bitwy aby stąd spostrzedz nieprzyjaciela i tu go spotkać, gdy w tej chwili ujrzał w niejakiej tam odległości kilka koni niewiernych, co się zręcznie przesmyknęli za lasem. Było ich siedmiu; wszyscy z wyniesionemi do góry krzywémi mieczami nacierali w okrąg na dwóch chrześciańskich rycerzy, którzy z niewypowiedzianą zręcznością wstrzymywali przemagającej siły natarcie. Widać było, iż obadwaj wyćwiczeni byli w wojennem rzemiośle; lecz ich uderzenia i cięcia powolne, a trafne jednak i zręczne, dawały poznać starców, choć niebyło widać twarzy z pod przyłbicy ani siwego z pod chełmu włosu. Zamachnął się jeden swym mieczem na najblizszego z nacierających; odciął się Maur i z słabnącej

dłoni starca wytracił ostrze. Orzeł bujający w górnych krainach nad szczytami pirenejskiemi niebystrzej spada na zdobycz, jak nasz rycerz i ze swym puscił się ku obronie orszakiem. Wzwił się miecz na powietrzu, stoczył się biały zawój, w nim głowa z czarną brodą i sczerniałemi ustami, które jeszcze bąkały; krew niewierna bryznęła na czaple pióro rycerza, na białą grzywę rumaka, na zieloną murawę, uśmiechające się gózdziki i granaty. Reszta przelęknieni szybko zwrocili konie i przyczaiwszy się do grzyw zmykali po za lasem by się prędzej ku swoim przyłączyć. Nieprzestawał ich ścigać młody rycerz i z towarzyszami; wyniosłszy miecz ku obłokom, pędził jak chmura z której ma grom uderzyć. Niewierni skręcili na prawo wąwozem w biegli na ową górę warowną skałami; lecz jakże się zdumieli, gdy znaleźli walkę ukończoną, jednych z swej braci z boleścią na twarzy składających oręż, drugich powiązanych, martwych, lub rannych walających się po ostrych kamieniach, albo i z końmi pospychanych pod gorę. Z przeraźliwym i bolesnym krzykiem znów

zwrócili konie, zbiegli z góry, przez kamienie i tarninę puścili się w rozdoły ku pobliskiemu lasu, którego wierzchołki błękitniały sie z za skalistych pagórków.

Młody rycerz niechciał już męczyć białego latawca, ścigał ich tylko okiem co świetnie błyskało z pod czarnej i gęstej rzęsy; zadziwił go równie widok wygranej i w głębokie wprawił zadumienie. W milczeniu patrzył jak rozproszone po równinach i wzgorzach rycerstwo, tocząc na rumakach z okrzykami radości powtarzało imiona róznych wodzów, otaczało Albukwerkę wielkiego bohatera, chociaż ten wciągu walki był prawie nieczynny z powodu odniesionej rany. O niskim zaś rycerzu zaledwie kto wspomniał i więcej przez wzgląd na dawniejsze jego dzieła, któremi głośną sobie pozyskał sławę i pociągnął serca. Stał więc na uboczy spokojnie, ginął w domysłach kto byliby owi dwaj starzy rycerze, którym przybiegł w pomoc, a koń jego uderzał kopytem o twardy i piaszczysty grunt. — Okolica pokrywała się ciemnością, wszędzie rozlegały się gwary, rzenie i tupot koni; czasem w szybkim pędzie

przebiegał jeździec, którego płaszcz wzdymał się wiatrem, i zbroja błyskała przy świetle zorzy.

W tym zbliżył się na siwym rumaku rycerz, jeden z hufu, który ścigał owych siedmiu Saracenów: włos jego szpakowaciał, a twarz choć pokryta zmarszczkami rumiana i czerstwa. Wkładając miecz do pochwy, rzekł do niskiego rycerza:

»Słychać coś mowią o królu, jakoby i z księciem przyjechał, a rycerstwo, ponieważ już niema najmniejszej obawy ma się rozjechać. Więc i my, Janie z Tarnowa, niemamy co tu bawić, a dawszy koniom wypocząć zmierzajmy ku Lizbonie.

## II.

W kilka dni po tej wyprawie Jan z Tarnowa z towarzyszem Damianem Łyczko przechadzali się przy gasnącej zorzy pomiędzy kwaterami wonnych ziół i kwiatów ogrodu książęcia Diego Rodriges de Silva w okolicach stolicy leżącego. Była to jedna z tych najpiękniejszych nocy polu-

dniowego nieba, dla których każdy chetnie wyrzeka się wypoczynku, aby puścić myślom bieg wolniejszy, lub poufałą rozmową ulżyć tęsknocie. Powolnym więc krokiem postępowali dwaj rycerze pomiędzy krzewami róż i granatów, to kryli się w długiej ciemnej alei, lub przechodzili ozdobne na kanałach mostki; wtedy świeciły ich szyszaki od promieni księżyca, który niecałą jeszcze nad ich głowami patrzał twarzą, a hiszpańskie ich płaszczyki spływające po zbroi i powiewne u szyszaków pióra, ślicznie się malowały na wód zwierciedle. Księżyc srebrnym blaskiem oblewał posępne gotyckie mury i fantastyczne wieżyczki pałacu księcia, lub odbijał się na wąskich szybach okien. — Nieraz Jan zapominał rozmowy, odwracał oczy i wpatrywał się w drzémiące pod niebem wieżyce; dusza i serce jego w zamku zdawały się być uwięzione.

»O tak, mój Damianie! cała chwała z przeszłej wygranej należy się temu groźnemu Albukwerce, co swym blaskiem wszystkie rycerstwo zaciemnia. On odebrał pierwszy z rąk pogańskich sztandar

z dwurożnym księżycem, z którym ja tak pragnąłem wracać w bramy stolicy i złożyć u nóg pięknej, boskiej księżniczki Jnes de Silva. O! nigdy sobie nie przebaczę tego błędu. Niemyslałem aby tylko siedmiu ową wycieczkę uboczną przedsięwzieli; wpadłem na myśl o zdradzie, sam niewierzyłem szczęściu, co mię już wieńczyło, sam się go wyrzekłem, lecąc bronić, kogoż? dwóch starców, którzyby się i sami powinni byli obronić — Zresztą potrafilibyśmy ich odbić.

»Nie! Janie z Tarnowa! któż wie, gdybyś się pięcia minutami spóźnił, możeby siwy rycerz, co stracił siłę w ręku i miecz dał sobie wytrącić, możeby padł pod cięciem śmiertelnem Saracena, któremuś łeb skosił? któż wie, siwy rycerz ginąc możeby zostawił sierotami, drobne dzieci, córkę dorastającą, niewinną. Gdzieżby sieroty znalazły przytułek w dzisiejszym świecie, świecie zgorszenia i zbrodni, który na hańbę ludzkości coraz się bardziej wyradza z dawnych cnót rycerskich. Niknie dzisiaj wspaniałość, hojność, bezinteresowne poświęcenie się, obrona dla słabości i wdów, całe życie rycerskie

dziś idzie w pośmiewisko. Niewielu dziś znaleść Zawiszów . . .«

To mów'ac Damian Łyczko, skłonił poorane czoło, zasłonił brwi dłonią, wpadł w jakąś melancholią i długo słowa nieprzemówił. »O! Janie, rzekł wreszcie westchnąwszy jakby oddaliwszy z tém westchnieniem smutne myśli — chwała tej Luzytańskiej ziemi i jej królowi, tu to jeszcze niewygasło to życie młode, bujne: odważny Diaz, wielki Albukwerka i Wasko de Gama pusczają się na wszystkie końce świata, niedbając na wichry i słoty, przez wiry i skały, aby dalekim narodom pokazać krzyż pański, otworzyć wrota szczęścia i zbawienia. Bodaj nam tysiąc lat żył stary książe Silva, ojciec pięknej Inesy, co mową i czynem i nagrodami zachęca luzytańską młodzież do spraw rycerskich.

»Ach! Damianie, lubię ten jego zapał, z jakim opowiada o dawnych dziełach swoich i swych przyjacioł młodości... A i tutaj wieleż razy król Emmanuel nieszczędził ci pochwał, a wojsko oklasków?

»Tym boleśniejsza dla mnie pamięć ostatniej bitwy. Na cóż nam było odłą-

czać się dla tych kilku nikczemników, jak gdybyśmy chcieli zemknąć z pola walki? Cóż o nas pomyslano w duchu? Tak że to mój miecz kiedyś zwyciężał?

»Więc ci idzie o marną sławę, krzyknął z oburzeniem Damian — czyć nielepiej żeś ocalił życie owemu starcowi? Nie bój się, twój miecz, miecz Zawiszy Czarnego, za nadto świetny aby go miały zbrudzić obce poszepty . .

»Prawda, rzekł Jan—stary rycerz pewnieby zginął, drugi by się także nieoparł; i to mię przynajmniej pociesza żeśmy im wczas dopomogli.«

Tak rozmawiając Jan z Damianem błądząc róznemi ścieszkami przy murach zamkowych, już się zwrócili ku swemu mieszkaniu w przeciwnem skrzydle zamku księcia Diego Rodrigez de Silva, u którego na teraz przebywali i który ich mile przyjmował wydając rózne festyny i turnieje dla ich zabawy. W oknach zamku już pogasły światła i uroczyste panowało milczenie. W tym z jednej z zamkowych wieżyc zabrzmiały melodyjne dzwięki śpiewu, które w przeciągłej harmonii przerywanej szumem kaskady lub wołaniem

majtków do portn przybijających, prawie w zupełności dolatywały uszu rycerzy. Znowu się zwrócili i przechodzili aleami ku murom, aby się lepiej przysłuchać.

»Jej to głos, zawołał Jan z Tarnowa to piękna bogini córka księcia Diego Rodrigez de Silva, to ta której obraz dniem i w nocy maluje się przed moją duszą, która swem spojrzeniem na największe niebespieczeństwo obudza we mnie męstwo i siłę, której miałem u stóp złożyć po porzeszłej wyprawie sztandar, a przed którą teraz nieśmiem pokazać oblicza! Lecz jutro—tu z radosnem uniesieniem sięgnał ręką do ramienia Łyczki i wstrząsnął, że wszystka zbroja na nim zachrzęściła—jutro wszystkim pókażę, kto z rycerzy wschodu, zachodu, północy, południa, godzien księżniczki spojrzenia.«

## Pieśń Księżniczki.

Nocy urocza, nocy pogodna,
Czyż kiedy w cieniu twym milej spał,
Jeleń w rozdołach, sarna swobodna,
Pliszka na roli, orzeł śród skał:
Czyli wojownik złożywszy groty,
Czuł mniej do boju jak dziś tęsknoty?

Ach jam to była swobodnym ptakiem,
Orzeł z dalekich przyleciał gór,
Nad Luzytanii jał bujać szlakiem,
Szczęście me porwał, uniosł do chmur.
Orle mój luby! zostań tu ze mna,
Lub lećmy w góry, bede wzajemna.

Nocy urocza! cichemi loty
Na oczy orła sny słodkie mieć!
Ty moja piosnko, piosnko tęsknoty
Nad góry, lasy, doliny, leć;
Może bojownik szczek wojny śniacy
Słyszac cie, o mnie wspomni teskniacej.

## III.

Ledwie pierwsze dnia światło bielało się zdaleka na wieżach klasztornych Lizbony i pozłacało wieżyczki zamku księcia, już biegał Jan po dziedzińcu, opatrując to konie, to rysztunki i przygotowania swoje do turniejów i poszedł obudzić Damiana. Smacznie Łyczko chrapał w ozdobnej w staroświeckie rzezby gotyckiej komnacie, do której przez głębokie

okna, jakoś niechętnie młoda zaglądała jutrzenka. Trudy niedawno odbytej wyprawy, nadto wczorajsza późna przechadzka żądały teraz dłuższego wypoczynku. — Jednakże Tarnowski do dnia białego noc całą oka nie zmrużył. Snuła mu się po głowie piosnka księżniczki, starał się odgadnąć jej znaczenie. Któżby to był tym orłem, który umiał zająć jej serce? Miałżeby to być który z rycerzy, których tyle zawsze gościło na zamku księcia. Najlepiej to przyszłe pokażą turnieje, bo rycerz zakochany zawsze bywa najmężniejszy w oczach swej Damy. Tu znowu nasz bohater postanowił nie ustąpić nikomu palmy pierszeństwa, którą już nieraz, tak na dworze króla jak i księcia miał sobie przyznawaną. Teraz postanowił jeśli niezyskać sobie serca Inesy, przynajmniej pokazać się niemniej jej godnym jak najpierwsi w kraju grandowie.

Z radością Jan z Tarnowa i z Damianem usłyszeli pierwsze trąbienie rogu z wieży ogłaszającego rospoczęcie zabaw rycerskich. Siadłszy więc na koń w całem uzbrojeniu i spuściwszy przyłbice udali się na dziedziniec, gdzie wyznaczone by-

ły szranki. Pełno już tu znaleźli rycerstwa, które nieustannie toczyło rumakami, lub wywijało i łamało drzewce. Balkony zaś i krużganki pełne były najpierwszych Portugalii piękności. Silne było Jana wzruszenie, gdy na najcelniejszém miejscu, które nad ziemię tronowało, pomiędzy starym księciem, panami, najpierwszemi damami i królem ujrzał Inesę która była krolową piękności tego turnieju. Postać jej lekka, wyniosła, pełna niewymuszonej gracyi, bielsza od narcysów z równin Tagu szyja i ramiona na półwidne z pod atłasowego płaszczyka w przyjemnym nieładzie na giętką kibić zarzuconego, włos hebanowy na białe piersi spływający, czynił ją bardziej greckiej bogini, niż ziemskiej dziewicy podobną. Pod ciemną jej rzesą błyszczało cudnym jakimś urokiem duże oko, a na czole i w ustach których koral pięknie odbijał przy białej i lekko tylko zarumienionej twarzy, malowała się jakaś wesołość, niezwykła radość grała w jéj obliczu.

Oko Tarnowskiego ciągle było zwrócone ku księżniczce, gdy tymczasem Damian już harcował na rumaku i ucierał

się z młodzieżą, zręcznie wywijał kopią i w jednem oka mgnieniu, nacierał, umiał odskoczyć i znowu natrzeć. Choć młoda krew w nim niewrzała, ale niedał się i młodzi zwyciężyć, niejednego nawet udało mu się z siodła wysadzić.

Tarnowski widząc wesołość niezwykłą księżniczki wpadł w zamyślenie, niezwracał uwagi na zręczność Damiana. Zbudził się z tego letargu, kiedy już Łyczko wspinał konia ku niemu. Chwycił Tarnowski za kopię, wziąwszy tarcz przed siebie, zatoczył odzianym w żelazo rumakiem. Choć miał zasuniętą przyłbicę uzuano go po małym wzroście, familijnym herbie połkoła pługowego na tarczy, po zręczności, którą kierował konia. Lecz w tych jego obrotach wprawne oko łatwoby dostrzegło, że nie cała jego dusza była z nim w szrankach; w robieniu kopią więcej spostrzedz można było mechanicznej zręczności i nawyknienia, jak czucia. Jednakże żaden z rycerzy niewystępował. Sławny Albukwerka z którym często składał się na miecze, dziś z powodu odniesionej rany spokojnie pozo-

stawał w orszaku króla. Lecz ujrzawszy Jana z Tarnowa zszedł ku niemu i rzekł:

»Waleczny młodzieńcze! dziś ci w chwale niezrówna żaden z młodzi luzytańskiej. Przykro mi że jak giermek musze być nieczynnym, wierzaj mi jednak, że niewystąpiłbym przeciw tobie.«

Nieumiał Jan w tej chwili na ten rycerski odpowiedzieć komplement.

Albukwerka prosił go udać się przed króla. Zsiadłszy z konia przystąpił ku miejscu, które wymagało całej przytomności umysłu, a gdzie tak trudno o nią było młodzieńcowi. Tu gdy stanęli, król wskazując gościom i rycerstwu na Tarnowskiego rzekł:

»Oto ten mąż z zimnych przybył krajów, lecz ma duszę pałającą męstwem i cnotami bohaterskiemi. Tyleście go razy widzieli mężnie stawiącego czoło nieprzyjacielowi, w ostatniej bitwie nowego męstwa dał dowody. Komuż dzisiaj, jeśli nie jemu pierwsza z rąk pięknych przystoi nagroda?«

W tym powstała z miejsca Inesa i przepasała szyszak Tarnowskiego szczerozłotym laurem, między liściami którego

czerwieniały się korony kwiecia misternie z rubinu wyrabiane, i rzekła: »Przyjm wybawco mego Ojca i króla!«

»Tak jest mówił dalej król, ja i ten starzec winniśmy ci życie. Gdy bowiem w jednym końcu doliny wrzała straszna walka, my świeżo przybywszy stanęliśmy na przeciwnem wzgórzu, aby lepiej uważać obroty, nieprzewidując zasadzki. — Nie na dobre by nam zapewne wyszło to odłączenie się, gdyby nie twoja pomoc.«

Pózniej inni rycerze, byli proszeni dla odbierania nagród.

Nastąpiły potem głośne okrzyki radości i powinszowania, które szczególniej odbierał Jan z Tarnowa i jego towarzysz Łyczko.

Po turniejach Damy, grandowie i rycerstwo udało się do sal ogromnych, gdzie miał być wydany obiad, miano się cieszyć i bawić, bo radość z ostatniego zwycięstwa z szczęsliwego ocalenia króla i księcia była w całem tem zebraniu nadzwyczajna.

»Kochany Damianie! rzekł wzruszony Jan z Tarnowa, czemże mi dziś blask złota i drogich kamieni, czem mi jest ta

nagroda w porównaniu z blaskiem czarownych ócz boskiej księżniczki. Zwiedziliśmy wschód i zachód, dziwiliśmy się starożytnym Atenom, gdzie każda dziewica piękna jak Afrodyte, widzieliśmy urodziwe córy hiszpańskich grandów, lecz powiedz, czyżeśmy gdzie spotkali podobną Inesę?

»Prawda, rzekł Damian, niełacno znaleść taką piękność, na którejby pełnej słodyczy twarzy, więcej odbijało się życia, niewinniejsza przeglądała dusza; którejby pełne oko taką świeciło wdzięcznością, a mowa choć prosta w myśli, od jej melodyjniejsza była w dźwięku. — Czasem tylko w Polsce, na Rusi najdziesz i pod niską, wiejską nawet strzechą podobne bóstwo, co nad gminem świeci jak perła na piasku.«

»Ha! Damianie, chcesz mi mówić o twej nadobnej Urszuli, której barwę nosisz?

»Moi rówiennicy, mówił dalej Łyczko, mieli się ku starościankom i stolnikównom; ja w téj zbroi, z tymże mieczem, czy przed, czy po tańcu z Tatarami klęczałem u nóg kniahini ruskich dolin i

kwiatów. Póżniej, na długo oderwały mnie od niej wojny; wracam z Bukowiny bosy, odarty, ranny. Ona za mężem! a odtąd i żoną i kochanką moją szabla i zbroica. Nudził mię spokój, jechałem z tobą za morza i na Saracenów. — Dziś choć mi włos bielić się poczyna; lecz dowiedziawszy się iż Urszula znów wdową, znowu ku niej serce wyrywa się.«

Tak rozmawiając, już wstąpili do sali; lecz nieraz im tę rozmowę przerywała głośna wrzawa gości, to ukłony i powinszowania, to grzeczne oświadczenia luzytańskich młodzieńców.

## IV.

Szybko toczyło się koło czasu naszemu Janowi pod pięknem, południowém niebem. Częste zabawy i igrzyska tak u króla Emanuela, jak i u księcia D. R. de Silva wystawiane, i szczęśliwych kilka wypraw przydawały mu po listku do wieńca chwały po całém prawie południu na bytéj Jan i z swym towarzyszem zwie-

dział roskoszną naturę południa, lubił bywać na turniejach bogatych grandów, przypatrywać sie wystawuości i etykiecie ich salonów, lubił zabawy z grzeczną młodzieżą. Lecz zamek Księcia de Silva zawsze był dla niego najsłodszem miejscem pobytu, ku któremu najpicrwej po ojczystej ziemi dążyły myśli jego i serce. — Często przesiadując u Księcia i pomagając mu we wszelkich przedsiewzięciach stał się najpierwszym powiernikiem jego myśli, otrzymał otwarte wyznanie miłości nadobnej jego córy, od dawna ku niemu miłością połającej. Zawsze ile razy księżyc zaglądał przez kolorowe szyby blade rzucając promyki po marmurowej posadzce, zawsze widział obok księcia i Inesy niskiego wzrostu rycerza. Tarnowski opowiadał o swej stronie dalekiej, wesołej, którą zamieszkiwał lud odważny, pocziwy, pełen prostoty. Miłe to nieraz były obrazy. Z ciekawością słuchała opowiadania Księżniczka. Książe opowiadał swe młodzieńcze dzieła na polu bitew z nieprzyjaciołmi chrześciaństwa i pojedynki, które staczał o piękność swéj Damy; opowiadał o rycerzach jego

czasów, którzy się kochali i byli waleczni. Opowiadał Jan o waleczności rycerzów jego kraju. Słyszała nieraz księżniczka od starego ojca, iż bawił na południu z tegoż kraju jakowyś rycerz nazwany Zawisza Czarny, którego aż dotąd męstwo i sława były głoszone. —

»Ineso! widzisz ten miecz u mego boku, z nim to walczył ten rycerz, a mój pradziad w linii matecznej, patrz, oto jego herby.

Z jakiém że wzruszeniem oglądała księżniczka ostrze tego rycerza, który dotąd był dla niej jakąś fantastyczną istotą, jak rycerze powieści i ballad. —

Opowiadał jéj Jan, o pięknych kobietach swych współrodaczkach, co tak często walczyły przeciw pogaństwu, i nucił jej ulubioną dumę o Wandzie, co gardząc ręką cudzoziemca wolała w zimném łonie Wisły śmierć znaleść. Wyuczył ją wymawiać kilka wyrazów twardéj polskiéj mowy która w jéj ustach niewymownego nabierała uroku. —

«Ach! czemużem się nie urodziła w téj ziemi, gdzie tak piękne cnoty i zapa-

ły ogrzewają ludzkie serca!» rzekła raz z westchnieniem Inesa.

«Ineso droga! wyrzecz słowo, a w zamku mych pradziadów znajdę przecie dla lubej cudzoziemki komnatę, cichą, spokojną, gdziebyśmy czasem w taki jak teraz wieczór podumali razem, jakżebyśmy tam byli szczęśliwi! nieprawdaź? Czyż twój stary ojciec zechce przeszkadzać szczęściu córki! Wszak sam mi nieraz napomykał, że spokojnie będzie umierał gdy mię swym nazwie synem, gdy błogosławiącą na nasze czoła położy rękę.

Stary książe który drzémał pod czas téj tkliwej młodych rozmowy, słysząc podobne wyrazy nagle się zbudził, i tuląc córkę do łona, wołał: Nierozważne dziecię! dziecię najmilsze! Czyż byś miała odwagę w tych samotnych murach bez żadnéj pociechy zostawić ojca, starca, który jeśli jeszcze niewstępuje do grobu, to tylko aby się swego dziecka nacieszył widokiem, jak widokiem letniego poranku. Któżby mi przykmnął do snu wiecznego siwą powiekę, jeśli nie ty Aniele dobroci? A ja, powiedz, czyżbym umarł

niewidząc własnem okiem ustalonego twego losu? —

«O ojcze jedyny! wołała ze łzami księżniczka klękając u kolan Ojca, nie! ojcze moj! nigdybym cię nieopuściła, choćbyś nawet pozwalał jechać w ową północną, czarodziejską krainę. Daruj mi, jeślim się płocho wymówiła.

«Słuchaj młody cudzoziemcze, mówił książe zwracając się ku Janowi, jeśli już was przedwieczna mądrość dla siebie sądzi, czyżby cię nudziły moje komnaty, czyźbyś tęsknił w naszej krainie co cię za swego pragnie przyjąć syna, gdzie ci tak wszyscy radzi, czy chiałbyś uchodzić z pod tego nieba, co było świadkiem tylu twoich pięknych czynów?»

Na takie słowa Jan z Tarn. wpadał w głębokie zadumanie, nie odpowiadał, a to milczenie pogodną twarz księżniczki powlekało nagle mgłą smutku, jak wiatr mroźny co ledwie dmuchnie, zasępia cały horyzont południowego nieba. Nieraz żałował w duszy, że w tak scisłe wszedł z księciem stosunki, że zazbyt miłość jego dojrzała, aby ją z serca wykorzenić. Lecz znowu patrząc w niewinną, tkliwą,

zamyśloną twarz księżniczki, która wsparta o krzesło ojca z schylonem czołem z piersią silnie wzdymajacą się, bojaźliwym uchem chwytała każde wymówione słowo, zawołał poruszony:

«Książe! tylko przy tobie zwąc się twym synem, będę tak szczęśliwy jak w zamku rodzinnym, a więcej nigdzie. Widziałem roskoszną naturę wschodu, byłem w swiętem mieście, gdzie wszystkich narodów pielgrzymi padają przed grobem Zbawiciela, stąpałem po kwiecistych brzegach Nilu, patrzałem na wierzchy piramid, na których sępy ścielą gniazda, oglądałem rozwaliny greckich świątyń, rozmawiałem oczami z bostwami marmurowemi Olimpu, po których czole winna latorośl pełne rozwiesza grona, a w klassycznej ziemi całowałem kraj szaty następcy Ś. Piotra, a przecie tylko twój posępny zamek, stanąłby mi za moję rodzinną ziemię, za wszelkie powaby naszej Rusi! Książe! nazwij mię twoim synem, oddaj mi Inesę, jeśli ma tyle względów cudzoziemiec; niech będzie wola Boga i twoja! Będę wspierał twą starość i strzegł siwego włosu, będę dbał o szczęście twe-

go dziecięcia, a miecza twego który rdzewieje na ścianie z chwałą użyję w obronie prawdy i religii!»

Tak mówił klęcząc przed księciem, a książe na to: «Tak! tobiem winien, że do dziśdnia oglądam słońce mej ojczyzny! Tyś wydarł z rąk pogańskich i wrócił ojca Inesie, przyjmże tę nagrodę. Cóż godniejszego może oddać starzec młodemu rycerzowi prócz cnotliwej córki i niesplamionego zbrodnią miecza? Niechaj ta niebios królowa, którą widzisz w obrazie na wieki swoje zlewa na was łaski! —

## V.

Takiéj Tarnowski słuchając mowy, był najszczęśliwszy, zapominał wszystkiego, wszystkiego prócz rodzinnej ziemi, która w tysiączne przed jego imaginacyą stroiła się uroki w miarę jego dłuższego wydalenia się. — Im więcej zbliżył się do szczytu swego szczęścia, tym mocniej dręczyła go tęsknota do rodziny.

Księżniczki radość z dozwolenia ojca na ich związek była nie do opisania. Lecz od niejakiego czasu spostrzegła zmianę w charakterze Jana i zaczęła być niespokojną. Jan mniej przesiadywał na zamku; widziano go błądzącego z Damianem po ogrodzie i wpatrującego się w kratowane, zapadłe okna wieżyc. Nieumiała odgadnąc przyczyny tak nagłej zmiany księżniczka, ktora się nigdy nieoddalala z zamku swych przodków. Pragnęła jak najprędszego zawarcia małżeńskich ślubów. Sam książe nareszcie widząc grób przed sobą pragnął zabespieczyć los swej córki i pewnego razu siedząc w szerokiém, axamitem wybitem krześle, przyzwał córki i rzekł:

«Wkrótce śmierć czarna zamknie mi powieki, lecz nim się przeniosę do wieczności, kochana córko! chcę się nacieszyć twém szczęściem. Niemamy co odkładać, niechaj ten młody i waleczny cudzoziemiec pojmie cię za małżonkę, niech zarządza w zamku twoich przodków. Wiem, że cię kocha, wszystko dla ciebie poświęci, pozostanie przy tobie. Widziałem go w ostatnich dniach smutnego; ale

przestanie się smucić, skoro nas następny raz nawiedzi Rozkażę porobić przygotowania do balu i turniejów, sprosić z całego półwyspu naszego gości i rycerstwo. Król obecnością uświetni zabawy. Będzie to uroczystość jakiej niewidziała nasza ziemia. A na tej uroczystości kapłan połaczy wasze ręce.»

Łatwo sobie wyobrazić radość młodéj dziewicy która prawie ubóstwiała Jana z Tarn. Pragnęła jak najprędzej udzielić mu tej pocieszającej nowiny, sądziła że przywróei tym sposobem dawną jego wesołość, że całe odtąd jego szczęście będzie przy niej na łonie domowego pokoju, chciała żeby zapomniawszy wojennéj wrzawy na zawsze jéj tylko kontentował się pieszczotami.

Lecz gdy tak romyślała otworzyły się drzwi sali i wszedł Tarnowski; zbliżywszy się do Inesy długo i słowa nieprzemowił, a na twarzy jego malowała się walka wewnętrznych uczuć. Zdawało się iż sili się mówić, że cięży mu tajemnica, któréj boi się dotknąć w obliczu łagodnéj, czułej księżniczki. Inesa uczuła jakoweś złowieszcze bicie serca, nieśmiała

sama wszcząć rozmowy, udzielić mu nowiny o bliskiém szczęściu.

«Ineso! zawołał nareszie Jan z jakąś stałością i zdecydowaniem, byłem nazbyt niedawno szczęśliwy, cała moja radość była przy tobie. Dzisiaj w twym ręku widzę tylko połowę tego wieńca szczęścia, który wkładasz na skroń moję. Druga jego połowa uśmiecha się mi zdaleka, na błękicie mojej ojczyzny Oto skrywałem dotąd przed tobą moje myśli i troskę, dziś wiedz, iż muszę cię pożegnać, lecz na niedługo. Burze grożące mej ojczyznie i chrześciaństwu wymagaja mego powrotu. Czyżbym w twém objęciu pozostał szczęśliwy, zupełnie spokojny, w objęciu, które mi tak miłe jak roskosze raju jeślibym stał się obojętnym na wezwania współrodaków?

«Rycerzu! — rzekł stary książe, który wszedłszy słuchał także jego mowy, mężny, lecz nazbyt chciwy chwały rycerzu! byłeś mi dotąd przyjacielem, synem, opiekunem méj starości, aniołem stróżem naszego domu i chcesz mię dziś porzucić, kiedy już jedną ręką opieram się o zimny grobowiec, drugą pragnę

was pobłogosławić? Widziałeś najpierwszych naszych grandów ubiegających się o rękę Inesy, lecz mam że złamać przyrzeczenie oddania jéj tobie, mam zniewalać młode serce do miłości innego?

«Ach! patrz książe, zawołał Tarnowski, oto jest pismo króla mego Zygmunta, patrz tu odezwy rodaków, braci wzywającéj mię do wspólnéj obrony. Proste tu tylko wzmianki o wojnie, o niebespieczeństwie chrześciaństwu grożącem; lecz książe znam ja co to u nas Turcy i Tatarzy. Wieść o nich jak dżuma, budzi trwogę rozpacz i zamieszanie. Od chwili odebrania téj odezwy, byłem niespokojny, słodko zasypiała natura, zamilkały straże po twych basztach, mnie sen spędzają czarne myśli, błąkam się po nocy, lub męczę się na pościeli. Żda mi się że słyszę narzekania, modły starców, płacze dzieci, nieustanne jęki dzwonów cerkiewnych rozlegające się nad brzegami Dniestru, Bugu, Sanu. Książe! nierozumiesz tych głosek naszego pisma; lecz patrz na te ich czarne postacie, grożne postawy, widać, były skwapliwie pisane, przed dużemi oczyma strachu. Trzeba mi

eż i skwapliwie wracać; bo moje myśli, moje sumienie, stanie się brudne, czarne, jak te głoski.

«Straszne to pobudki, prawda! rzekł książe; lecz za ciebie jednego stu mężnych tam stanie, niebrak ich w twej ojczyźnie, będą walczyć za ciebie. Sam nawet poszlę posiłki, a zostań u nas, bo za ciebie między stami nieznajdą jednego podług naszego serca!

«Ach! książe mój, zlituj się! cóż by to mi było za szczęście, gdybym w objęciach lubej Inesy spokojnie słuchał wieści, jak barbarzyńcy na łonie matek rozpaczających mordują niewiniątka, pustosząc nasze sioła wesołe uprowadzają wstydliwe dziewki do haremów. Nie! pozostać niemogę.» —

I niedał się żadnemi namowami skłonić do pozostania Tarnowski. Zgodził się przecie książe D. R. de Silva na ten odjazd otrzymawszy od Jana słowo rychłego powrotu. Znał on dobrze przywiązanie jego do Inesy i niezmienną stałość. Jan dla prowadzenia interesów domu starego księcia zostawił Damiana Łyczkę, z którym począwszy od dziecin-

nego prawie wieku, dziś dopiero na czas niejakiś rozstać się musiał. Gorąco błagał niebios aby poszczęściły mu na wojnie i jak najprędzej do Luzytanii wrocić dozwoliły.

Na zawsze z chwałą dla polskiego rycerza będzie wspominany w historyi żal niezrównnany z niczem całego rycerstwa luzytańskiego, który towarzyszył jego odjazdowi, choć na czas ile można najkrótszy. Ale Jana najwięcej bolały smutek niczem niespędzony i łzy nadobnej Księżniczki.

## VI.

Pomimo że Jan z Tarn. w jak najprędszym czasie pragnął stanąć w ojczystym zamku nieraz przecie w podroży musiał się zatrzymywać u gościnnych baronów i monarchów, z których każdy jak najdłużej pragnął go mieć gościem u siebie, niezałując wszelkiej wystawności i zabaw na godne jego przyjęcie. Był w powrocie u Leona papieża i Karola ce-

sarza Niemieckiego; odebrawszy zaś od nich liczne upominki i listy zalecające męstwo i cnotyl polaka, spieszył pod rodzinne niebo walczyć razem z rodakami

Wybierało się wtedy polskie rycerstwo na Turka w pomoc Ludwikowi królowi Węgrów i Czechów a synowcówi króla polskiego. Wieści o bliskiej wojnie i zamachach bisurmanów na ziemie polskie roznosiły przestrach po wszystkich częściach Rpltej, wywoływały ku obronie ze wszystkich stron zbrojną i ochoczą młodzież. — Jakoż 1521 r. w miesiącu Lipcu, Soliman wyruszywszy z Carogrodu po nad Sawą i Dunajem z niezmiernem wojskiem obległ Białogród, zamek mocny a strzelbą i minami dobywszy go, posunął się do Sawy wziął zamek Sabac, nietylko ziemi Ruskiej, ale i całemu chrześciaństwu zagroził. Lecz usłyszawszy że Tarnowski ciągnie z 6000 jazdy, natychmiast odciągnał z przestrachem. Tak było głośne i straszne imię polskiego rycerza u Muzułmanów.

Gdy już wiec niebyło niebezpieczeństwa powracał Jan w orszaku doborowe-

go rycerstwa i szlachetnej młodzi na dzielnych koniach i w bogatych rysztunkach do ojczystego zamku, aby nacieszywszy się tu z nimi dosytu, naweseliwszy serce pamiątkami familijnemi i ojczystemi znowu ruszyć, kędy go ciągnęło serce, kędy przebywała jego dusza.

Kilka tygodni jeden po drugim przyjmował Jan w Tarnowie rycerstwo, które ze wszystkich stron tak Rusi jak i całej Polski spraszał do siebie, aby się z nim dosyć nacieszył. Trwały ciągle zabawy, turnieje. A czas szybko upływał.

Rozmaite, zatrudnienia tyczące się porządków domu i dóbr obszernych, tudzież zaprowadzenia pomyslności między swoich poddannych, którzy byli najpierwszym także przedmiotem starań i zabiegów Jana, wiele zwlekały jego wyjazd. Chciał wszystko w dobrym pozostawić stanie, bo niespodziewał się prędkiego powrótu. Jan zamyślał po śmierci księcia D. R. de Silva z piękną księżniczką wrócić, do zamku swego; pisał przeto do Damiana, aby to życzenie przełożył ojcu Inesy.

Jan w ostatnich dniach odebrał niepomyślne nowiny o zdrowiu starego księcia, przeto pragnął jak najprędzej ku Luzytanii wyjechać. —

Była już pora jesienna, wiatr gwizdał po ścianach zamku Tarnowa, Jan ucztował z drużyną w obszernej sali. Po ścianach jej od sklepień do dołu spływały złotem bramowane w deseń herbowy adamaszki i spozierały familijne portrety w złocone rzeźby oprawne. Wostatecznym końcu sali, między kolumnami w złocone sztukaterye ozdobnemi, za tarczą, z familijnym herbem Leliwy zatknięte były błyszczące szyszaki, drzewce i miecze, co niegdyś zaszczytnie brzękały w rękach jego ojca i dziada przeciw Krzyżaków i Wołochów. — A pod samem sklepieniem po wiewały róznemi czasy zdobyte na nieprzyjacielu chorągwie.

Pieniły się puhary tokaju którego z lochów Jan Szczucki Włodarz, dostarczał. Chciał Tarnowski dzisiaj nacieszywszy się z przyjaciołmi tak swymi młodymi, jak i ś. p. ojca Jana Pana krakowskiego, nad świtem pomimo słoty i nieprzyjaznej pory, ruszyć ku Luzytanii, mia-

nowicie gdy znikąd w ojczyźnie niebyło widać wojny. Postanowił tylko stale przed przyjaciołmi skrywać na teraz swój zamiar, aby uniknął długich i odjazd zwlekać mogących pożegnań.

Było wtedy po śmierci Mikołaja Firleja W. Hetmana Koronnego Wszysczy więc, starzy nawet wodzowie, którzyby sami mogli rościć prawo do buławy, tak polubili Tarnowskiego, iż jemu chcieli ja wręczyć, nim się jeszcze rospoczęła wyprawa na Turka, za czem i sam krol uporuie obstawał — Dzisiaj zaś przy okoliczności ponawiali swoje życzenia.

«Vivat nasz Hetman! zawołał Mielecki wojewoda podlaski, marszałek kor. siostrzeniecTarnowskiego, podnosząc śrebrny półgarcowy roztruchan ozdobiony rzeźbą i wysadzany drogiemi kamieniami.

«Vivat! powtórzyli wszyscy, a Mielecki do dna wychylił i połą kontusza otarł spocone czoło

«Wiem ci ja jakich cnót potrzeba na Hetmana dzielnego, a niezbywa Polsce na mężach posiadających te cnoty, — odrzekł Jan chcąc położyć koniec tym naleganiom, skłoniwszy się w stronę,

gdzie przy ścianie taflowanej modrzewiem w bogatych ferezyach osiwiali w wojnach siedzieli mężowie: Konst. Firlej, Swierzechowski, Boratyński i wielu innych.

«Już to i dawniej, rzekł Firlej, król nam wspominał, że tobie choć młodemu, najuczciwiej w ręku buława przystoi, bo też prawdziwieć mówiąc, tyś się do tego urodził, a my też przy tobie staniem się lwami srogiemi.»

«Tak jest! tak jest! szczera to prawda, zawrzasnęli inni, a jakby dla potwierdzenia tego, każdy niechcący wziął się za głównię karabeli. — Nierób tych ogródek, mówili daléj, jeżeli pragniesz szczęścia dla Polski, czyżby ci tylko Luzytania miała być miłą?

Ale odpowiedź Jana zawsze była przeczącą, prócz bowiem leżącej przed nim podróży, wiedział on jak mówi historyk Orzechowski, iż niedosyć jest ku hetmaństwu mieć konia, pancerz, tarcz i drzewce, ale rozum i serce ktemu. —

«Niegrzesz Janie z Tarn. wymawiając się niezdatnością i małą biegłością, rzekł Pan Swierść Wojski, rychłoś ty bowiem z nas żaczków mistrze porobił.»

«Słuchajcie WMość Panowie! zawołał Pan Mielecki mój wuj przykrzy sobie nasze pochwały i te oklaski i kwiaty, co mu tak rozrzutnie siały polskie panie z Krakowskich ganków, gdy z Węgier powrócił. On upodobał sobie w tych złotych laurach, któremi ukraszają czoła wojowników białe rączki luzytańskich księżniczek.

»A Vivat! — vivat powtórzyli wszyscy wesoło, a głośna wrzawa długo rozlegała się po ścianach sali.

Ale nowa i niespodziana okoliczność inny kierunek nadała niewiele przyjemności sprawującej dla Jana rozmowie. — Dano znać o przybyciu do zamku jakiegoś rycerza. Szybko pobiegł Jan na przeciw nowego gościa i wprowadził w przypruszonym od śniegu uzbrojeniu Damiana Łyczko, który po przywitaniach i uściśnieniach wzajemnych zaczął się zagrzewać starym węgrzynem, aby nabrał sił do opowiedzenia zdziwionemu Tarnowskiemu przyczyny tak nagłego powrotu. — Nieprzerywał mu Jan, ale z wielką niespokojnością oczekiwał chwili

w którejby mogł na osobności z Damianem o wszystkiem się wywiedzieć.

«Panie Damianie! rzekł Ks. Marcin Łyczko proboszcz Tarnowski; czyżeś z potomkami onych Jozuego rycerzy aż dotąd po świecie zwodził pojedynki, że tak późno przybywasz. Jużeście z Saraceny dawno skończyli; niewierzę zaś abyś po gościńcach dziś spotykał takich jak ty błędnych awanturników, co by chcieli się narażać za pierszeństwo swych piękności.

«Wrzeczy samej, dzisiaj młodź zmądrzala; czyż nielepiej siedzieć w domu na wygódkach jak kura na jajach z przeproszeniem WMość Panów, albo jak uczony nad Tacytem i Cyceronem, — rzekł Firlej z ironią, chcąc pogłaskać Damiana, którego znał dobrze namiętne zamiłowanie w awanturach rycerskich.

Zmiarkował Ksiądz Marcin iż nie k'rzeczy ów żart zrobił; a zatem jeszcze żartując i jakby klin klinem wybijając dodał: «Zaprawdę ja słyszałem jakoby uczeni teraz i księża mają się ucierać na cześć piękności i pogaństwo zwojować.» —

Damian, który wprzody zagryzł tylko usta z gniewu i zarumienił się, ale nie-

prysnął gościom w oczy złorzeczeniami, bo zawsze miał na względzie rycerską grzeczność, widząc iż owe drwinki przeciw rycerskim czasom, były tylko niewinnémi żartami; teraz jaśniejszém spojrzał okiem, kiedy Ks. Marcin nad to, który dotąd prawie nic niepił, sam napełnił puhar i wniósł toast: «bodaj nam się wróciły rycerskie wieki!»

»Dawno i niecierpliwie Panie Łyczko! mówił znowu Firlej, byłeś tutaj wyglądany; już się frasowała twoja piekna wdówka, a pewnie też i naszemu Hetmanowi przywiozłeś jakie upominki od księżniczek luzytańskich?»

Tarnowski spojrzał surowo na Damiana dając mu znać aby się niewygadał. Niechciał bowiem, aby wiedziano o jego miłości z cudzoziemką.

«Co mi tam luzytańskie księżniczki, rzekł Łyczko, chociem sobie prostak, alebym się niełakomił na pół królestwa Emmanuelowego za jeden mój biały dworek i moję Urszulę i ten miecz. Oj! nie uwierzycie WMość Panowie, z jakiém serca biciem zbliżałem się do granic Polski.

«Mój siwosz, mówił dalej Damian, jakby także poznawał te równiny, gdzie zgryzał niegdyś młodą koniczynę, pędził ku białym murom Tarnowa.

A my sądzili, rzekł Mielecki, że już nam niewrócisz do kraju, że już gdzieś Mars wpadł w złote sidła jakiej Hiszpanki. A Ksiądz Proboszcz już miał to zapisać w jakiej historyi, że nasi rycerze bałamucą się za granicą.»

«I nasz Pan gospodarz, — rzekł Ks. Marcin Łyczko, czegoś nam ciągle zamyślony i smutny, któż to wie, może ruskie i koronne Kniahinie urodziwe zmuszone będą przywdziać żałobne suknie, kiedy pośpieszy w objęcia jakiéj nadobnéj Wenery luzytańskiéj. Toć to i słychać, że Król Emmanuel chce go ku sobie znęcić.

«Alboż to nasz Jan dziecko, rzekł poważnie Damian, żeby miał gonić za cackiem co mu zdaleka błyśnie. Widział dużo świata, nauczył się kochać ziemię przodków, i sądzić z rozwagą i rozmysłem.»

Jan niemiał udziału w tych żartach, ani dozwalał mu tego stan jego umysłu.

Twarz jego na przemian bledująca to rumiana wykrywała gwałtowną walkę wewnętrzną i pasowanie się uczuć. Niebył on już w wiekn żywych uniesień tej miłości która wszystkie inne uczucia zagłusza i stroi nam w różowe powaby ukochany przedmiot, tym czarowniej nęci im więcej oddalają nas od niego przewrotne losy. — Ale Jan mocno czuł powinność dotrzymania danego słowa względem rychłego powrotu do zamku ojca Inesy. Z drugiej znowu strony miotało silnie jego duszą przywiązanie ku ziemi, gdzie ujrzał światło dzienne, gdzie tysiące odebranych w młodości wrażeń napiętnowały się czarodziejskiemi obrazy w jego sercu. Nieraz powątpiewał sam w sobie, czy Książe się zgodzi, aby Jan kiedykolwiek z Inesą opuścili Luzytanię; a te wątpliwości nadzwyczaj go dręczyły. Niecierpliwie więc pragnął dowiedzieć się o tem od Damiana. —

## VII.

«Dobrze umiesz podtrzymywać moję stronę Damianie, rzekł Jan po oddaleniu

się gości. Alež stan zdrowia Księcia? a Inesa. . .

«Alboż nieprawda przerwał Damian, że lepiej zapomnieć o tych cackach?

«Nieżartuj, Damianie! niezwykłeś tego robić dawniej, byłeś zawsze otwarty, opowiedz. . .

«O! Janie, sam ci Książe D. R. de Silva niechaj sam opowie. I wyjał list, który oddał Tarnowskiemu. List był następującej treści: —

«Janie z Tarnowa! Na łożu śmierci, wpółumarłą ręką kreślę te słowa. Miłość ku tobie dodaje mi jeszcze siły. Tęskno nam było po twym odjezdzie. Lecz Opatrzność niechciała, abyś mi przed zgonem rozjaśnił tęsknotę, abyś swojem przybyciem rozradował ostatek dni moich. Długom cię wyglądał, ale prędzej śmierć do mnie, niż ty, przybyła. Bądź jednak daleki od myśli, żebyśmy cię o niewiarę posądzać micli. Nad wszystko poważamy twoje cnoty obywatelskie, które cię zatrzymują, choć to wiele łez moję Inesę a mnie zgryzot kosztowało. Stworca niech cię darzy zdrowiem, żyj najdłużej dla szczęścia twej ziemi! Błogasławię cię zda-

leka wznosząc moje rękę ku północy, rękę cudzoziemca i ojca, jakem cię z Inesą u moich kolan błogosławił. Inesa dzisiaj postanowiła nieodwlekać cię od pełnienia obowiązków obywatelskich. Dziecię me dzisiaj poślubione usługom tej Najświętszej Panny, przed obrazem której łączyłem wasze dłonie. — Teraz już, kiedy piszę, nienależy do burzliwego świata. Czarnym oddzieliła się od niego habitem, zdjęłą z ciebie złote miłości pęta, krępujące twe kroki na drodze sławy i posług ojczystych. — Ostatnie ci pozdrowienie posełam, synu mój waleczny! w godzinę śmierci, co mię pod czarne przyjmuje skrydła, przed którąś mię niegdyś obronił. Dzięki twemu współtowarzyszowi, który nieprzestaje czuwać przy mem łożu i który do ostatniej chwili nieprzestawał mię i Inesę cieszyć nadzieją twego powrotu.

Ks. Diego Rodriges de Silva.

«Cóż to wszystko ma znaczyć, wytłomacz mi Damianie! tego wcale nierozumiem: — rzekł Jan z zadziwieniem po przeczytaniu tego listu. Damian wyjaśnił rzecz w krotkości: —

«Stary Książe leżał na śmiertelnem

łożu, opowiadał Damian, kiedy mię doszła wieść o ukończeniu wyprawy waszej. Spieszyłem pocieszyć tą wieścią Inesę i jej ojca. Myślano tylko o tobie w pałacu. Książe jakby pietnastoma laty odmłodniał. Ale choroba coraz go bardziej trawiła. Upłynął jeden miesiąc, upływał już drugi. Odebrałem twój list i szedłem znowu do łoża księcia oświadczyć mu twoje żądanie — wziąść Inesę do Tarnowa.

«Ach! widzę, rzekł mi książe, że nie może tu pozostać, choć tak kocha Inesę. Ale ja po śmierci bym nawet niezniosł, aby moje dziecię gdzieś w dalekie kraje się oddalało. Kościby się moje poruszyły w ziemi, gdyby co ranek dziecię me nie przyszło na mój grób, na groby swych pradziadów westchnąć i łzę uronić. Moja córka! jedyne dziecię, ostatnia latorośl bujnej odnogi starożytnego domu Sylwiuszów! mam że pozwolić, aby zwłoki jej w dalekiej gdzieś były pogrzebione ziemicy?

Widzę, że Jan szczęśliwym by tu niebył, gdybym go chciał zdaleka od jego ziemi zatrzymać. A me serce niedozwala

na wyjechanie Inesy. Jednakże Najświętsza Panna widziała, żem jemu ją poślubił, jak że to wszystko pogodzę? Czyż mam jej ręką innego uszczęsliwić rycerza? Nie! sam miałbym sobie do wyrzucenia. Nie! to być niemóże! gdy przyjedzie i upomni się o Jnesę, duch mój co tu w tych murach będzie przemieszkiwał niewidzialny nie zadrzałżeby na to?

«A gdyby, ot teraz wrócił, gdybym połączył ich ręce, jak już miałem zrobić przed jego wyjazdem, czyż mogę się zapewnić, iż on pozostałby przy niej z dobrej woli, czyż jego radość nawet była by od serca a nie przymuszoną i udaną. Czyżby używał przy niej prawdziwego szczęścia?

«A tak więc zapobiegnę wszystkim wątpliwościom, mam na to sposób, sposób który Tarnowskiego uwolni od danego przyrzeczenia, Bogu przyniesie chwałę. Jan będzie wolny od danego słowa, ja niestanę się odpowiedzialnym przed nim, jakbym się stał oddając córkę innemu. — A Inesa będzie kontenta swem powałaniem, bo chwałę Boga i modlitwę wyssała z mlekicm niebożki swej matki.»

Zawołał Inesy, oświadczył jej swoje wolę, a w kilka dni śmierć zawarła mu powieki. —

Jakoż smutna nader była to chwila dla całej Portugalii; w tymże samym bowiem czasie zstąpił do grobu wielki jej król Emmanuel nazwany w historyi szczęśliwym. Klasztor w Relem, który tenże król na pamiątkę odkryć i zwycięstw nad poganami wybudował, wewnątrz był pokryty czarnym kirem od sklepień do ziemi, a w pośrodku wznosił się katafalk, na którym stało dwie trumny króla i jego zgrzybiałego wodza i towarzysza, Księcia D. R. de Silva. Na kirach po katafalku spływających bielały się obok siebie familijne herby króla i księcia. Za trumną na posadzce w stos była rzucona stalowa zbroja, dwa szyszaki, tarcze, pancerze, mieniły się od blasku miliona świateł dwa obok siebie miecze, które wspólnie brząkały kiedyś w reku nieboszczyków. Ustawicznie brzmiały, hymny żałobne, a tuż przy zbroi w kole najpierwszych grandów, dam i rycerstwa, klęczała z pochyloną głową anielskiej postaci dziewica, w ubiorze mniszki, której biała twarz i

oczy duże ciągle od łez błyszczące niewymownym jaśniały urokiem z pod czarnej krepy aż ku ziemi od śnieżnego czoła spływającej.

Biegły dnie za dniami, zdarzenia za zdarzeniami; zatrudnienia obywatela, wodza, senatora, wiek dojrzalszy i miłość z nadobną dziewką Barbarą Teńczyńską, uspokoiły żal i tęskność Jana, które go prześladowały od chwili odebranie owego listu. Lecz i poźniej jednak czy to w cichej komnacie, po ukończeniu dziennych zatrudnień przy migającej lampie nad psałterzem usiadł, czy to o wschodzie słońca samotny drożynami ciągnął przez żyzne pola i wzgòrza Rusi, ku Przeworsku, Jarosławiu, Tarnopolu, ku swym kmiotkom, nagle obudzało się w jego duszy wspomnienie owych dni poznania się z księżniczką. Nieraz mu się zdawało, iż z wiatrem z nad sanockich gajów wiejącym dolatuje go echo owej pieśni, którą słyszał przed laty pod oknami Inesy, a z nim wpływała do duszy jego jakaś słodycz, której wytłomaczyć sobie nieumiał.

Ale któryż mędrzec poznał dosyć cuda tego świata? —

Dziesięć lat npływało od owego listu, gdy Piotr hospodar Wołoski, hołdownik króla polskiego zrzekłszy się hołdu podniosł buntowniczy oręż, zajął Pokucie, zagroził ujarzmieniem i spustoszeniem Ruskiej ziemi. Dymiły się od pożarów pośrod dąbrów zielonych sioła i miasteczka; w Haliczu panował przestrach i trwoga. Nagle rozległy się okrzyki radości i błogosławieństw gdy z wież i dachów ujrzeli mieszkańcy powiewające pióra i wzdymające się płaszcze polskiego rycerstwa, błękitny Dniestr pod Hetmanem Tarnowskim przebywającego. Nagle ustępowali Wołosi, lecz zatrzymali się pod Obertynem w liczbie 25000 dowiedziawszy się iż polskich było tylko 6000, na zachwycenie których hardzie i z szyderstwem oczekiwali. Przyciągnął Tarnowski pod Obertyn, rozłożył się taborem na równinach. Ach strach to było spojrzeć na szeroko, jak oko zasięgnąć może czerniejące się tłumy poganów, mnostwo dział i zapasów. «Wtedy Tarnowski sprawiwszy wojsko porządnie sam na krzyż między wozy upadł, wzywając ratunku Bożego przeciw

wielkiej mocy Wołoskiej polecając mu ziemie Ruskie i swe wojsko.» *).

Tak modląc się przed zaczęciem bitwy, niezwykłym był uderzony zjawiskiem. Wczerwieniejącym się od gasnących zorzy obłoku co płynął nad jego głową, ukazała się promienna postać dziewicy. Której czarna szata jak chmura nocna ciemniała na błękicie; czoło przepasywała z gwiazd przepaska, a lekka gaza nad czołem zwieszona jak mgła jesienna, pływała na wietrze nad jego obozem. Miecz. który wyniesiony trzymał Jan z Tarn, zdał mu się groźnym kometą, co w tym roku przechodził. Postać zniżając ,się wyciągnęła rękę i zdawała się w kładać na czoło Hetmana laur płomienny z temiż listkami i gałązkami jak był ów złoty otrzymany z rąk księżniczki. I słyszał Jan głós znany mu przed laty: «Przyjm obronicielu Religii i prawdy!»

Niebyło to widmo jego imaginacyi, która w jego wieku już przygasła. Całe rycerstwo potwierdziło ten sam cud, a na-

*) Orzechowski.

brawszy przez to ducha, na głowę pobiło tak srogiego nieprzyjaciela, zabrało sztandary, moc niewolnika i zacnych więźni i 50 dział z polskiemi herby.

Z temi łupy w trymufie Tarnowski w jeżdżajac do stolicy był przyjmowany od Rady i Duchowieństwa, a lud pospolity palcem na działa i więznie wskazując, mowił: *) «to wszystko krol Olbracht na Bukowinie potracił, co nam P. Bóg przez Hetmana do naszego Krakowa wraca. Bądźże Tobie Boże chwała i temu tajemniczemu Aniołowi który tak szczęści dzisiejszemu potomkowi wielkiego w Polsce domu.» — Była bowiem u wszystkich pogłoska, jakoby Jan z Tarn. miał jakiegoś tajemniczego Anioła, który wszystkiemi sprawy jego zarządzał.

Inesa już wtedy nieżyła.

* *

*) Historyczne.

## Powiedz dla czego?

### DO A... N...

Miłe i tkliwe słowika kwilenie
Sród letniej nocy oddechu,
Lecz tysiac razy milsze twoje pienie
Przeciagłe w gasnacém echu.

Piekna jest postać wiosna tchnacych błoni,
Piekna na polach tkań z kwiatów,
Ale piekniejszy na twej białej skroni
Wianek uwity z bławatów.

Mila na czystem nieboskłonu kole
Pogoda śród letniej ciszy,
Lecz stokroć milsza na twém jasném czole
Pogoda weselem dyszy.

Mila muzyka gdy uczuciom wtórzy,
Gdy piosnkę serca zadzwoni,
Ty zagrasz — dzwięk ten w duszy się powtórzy
I oko łezkę uroni.

Dla czego tyle pieśni twoje lubię
I urok wdzięku twojego?
Dla czego dusza w twej się duszy gubię,
O luba powiedz dla czego?

St. Petersburg 1838. *J. S*



# Mogiła.

## FANTAZYA.

Pole wielkie, równe, czyste,
Nad nim wznoszą się niebiosa,
Z czystych niebios kropi rosa,
Ranek piękny, słońce mgliste
Cicho wspływa na niebiosa!

Wpośród pola — jest mogiła
Co kurhanem lud ją zowie.
Czyjaż była
Ta mogiła,
Któż mi powie?...

Puste pole — wiatr przelata,
Trawa w locie swym pomiata,
Na mogile piasek grzebie.
Wietrze, — ty co tu panujesz,
Swiszczac kurhan przelatujesz,
Czyja była
Ta mogiła,
Pytam ciebie?

Wiatr mi nic nie odpowiedział,
Czy to nie chciał, czy nie wiedział.
Tylko piaskiem w oczy cisnał,
W dalekie sie wzbił bezdroże,
W bystrym locie dziko świsnał . . .
Znikł w przestworze.

Niebo — czyste, jasne było,
Na nim ranne słońce lsniło,
Ani jednej chmurki w niebie.
Niebo, — ty co tu panujesz,
Jaśnem okiem w step w patrujesz,
Czyja była
Ta mogiła,
Pytam ciebie?

Niebo nic nie powiedziało,
Niewiedziało, czy nie chciało.
Tylko zwróce me spojrzenie —

Z zachodu się chmury garną
Chmury ciemne, dżdżyste, duże;
Całe niebios wnet sklepienie.
Odziało się czarno,
Znikło w chmurze.

Teraz wszędzie cisza była,
Jakby sen i śmierć tu żyły...
Czyjaż była
Ta mogiła?
Chyba spytam się mogiły!..,
Ale ona — cóż mi powie,
W niej tak cicho, ciemno, głucho,
Że nic nie usłyszy ucho...
Od mogiły któż się dowie!

*Ludwik de Perthées.*



# SONETY.

## I.

### MORZE.

Kocham cię, kocham, moje lazurowe morze,
Kocham cię, zimne morze! boś Aldy obrazem,
Jak Alda tyś nieczułe, choć pierś twa nie głazem,
Lecz żyje, w twym uśmiechu wdzięczne płoną zorze.

Jak dziewicza pierś dyszy, wzdyma się, opada,
Do gwiazd skrzydłem obłoku posyła westchnienia,
Wgłębi duszy coś marzy, a pośrod marzenia
Przy skale fal ustami cichy pacierz gada.

Kocham cię! wszak ty żyjesz, a przecie mi echem
Nie odpowiadasz, glos się pośliznął na fali,
I tylko brzeg zielony słucha mię z uśmiechem.

Tak do Aldy wołałem, żar mi usta pali,
Alda pieśnią wzgardziła, jak śmiertelnym grzechem,
Glos mój w uchu jej zamarł, jak w morskiej oddali.

# II.

## KOCHANKA.

Widziałem — tam na górze gaj wiazowy rośnie,
Tam wsparty o kolumnę młodzieniec z dziewczyna
Wzrok toczył, kędy smugi róż falami płyna,
Złote niwy szumiały, słowik brzmiał miłośnie.

Z wierzchu skały pod góra drzémiacej ukośnie
Zdrój się srebrny rozprzedał w wiecznobrzmiace strony,
Chłopcu sie zdało, kwiaty, zdrój i ptaszat tony,
I szmer kłosów, dziewicy hołduja — jak wiośnie.

Słońce tęczę rznciło na niebios rozłogu,
Siało złotem nad gaje — a chłopcu sie zdało
Iż to oko dziewczyny tecza promieniało.....

## III.

### NOC.

Oprzyj czoło na łonie, siadźmy obok siebie,
Osłaniasz mleczne piersi — przesadna skromności!
Noc cię kryje, śpią ludzie, któż nam pozazdrości?
A gwiazdy ust nie mają, nie rozplotą w niebie.

Niestety, cóżby plotły? w chmur łabędzich rzędzie
Błędny księżyc zaledwie śrebrzy łono twoje,
Wstyd cię wdzięczniej okrasza niż świt róży zwoje,
Kryjesz w pukle pierś bielszą nad chmurki łabędzie.

Dłoń drży w dłoni, a oko szuka w twojém oku
Wzajemności, jak słońce słońca w szkle potoku.
Wzrok opuszczasz — jak bławat skroń przed śpieką lata.

Anielska skromność twoja, niebieskie uściski,
Gdy mię ciśniesz u serca, zdam się niebios bliski,
Zda się, tuli mię niebo k' słońcu, sercu świata.

## IV.

Pytasz, co mi? gdy wzdycham, cierpię udręczenie;
Jam twym, luba tyranko! więźniem całe życie,
Roskoszne wdzieków pęta wdziałaś na mnie skrycie,
Samaś wdziała i pytasz, by dwoić cierpienie!

Jak gwiazda moich losów, twych oczu spojrzenie,
Szle mi rospacz, lub szczęście — gwiazdko ma o świcie!
O jaśniej że mi złota na dni mych błękicie!
Luby mi blask twych źrzenic, jak dzienne promienie.

Jak bez światła, uwiadłbym bez twego uśmiechu,
I piersia chwytam z piersi oddech balsamowy,
Jak bez powietrza, marłbym bez twego oddechu.

I dzwieki twej melodyi łowię uchem chciwém,
Bez nich bym usechł — jako bez rodzinnej mowy,
A wzdycham, bo bez ciebie, jak mi zostać żywym?

# V.

## SMUTEK.

Wypłynał blady księżyc, patrzy do altany,
Kedy razem siedzimy, sród jaśminów woni
I róż płonacych — słowik jęczy na ustroni,
Ciebie nie bawi kwiat ni spiewak roskochany.

Brzmi tęskno twoja piosnka—jak ptaszek ścigany
Daży do gwiazd wesołych; na niebieskiej błoni
Gwiazda leci i ciche westchnienie ja goni,
Na ustach uśmiech błysnał, gość tak pożadany.

Zaledwie twego ranek zaświecił żywota,
Wesołość jego gasi jakowaś tęsknota
Co nawet same radość i gry twe zatruła.

Tak matka gdy po śmierci do rodziny spłynie,
Igra w północ przy meżu i malej dziecinie,
A zawsze zamyślona, smutna i nieczuła.

# VI.

Czemuż tylko za toba myśl ma wiecznie goni?
Myśl tak swobodna musi, jak gwiazda ogniska,
Ciebie pilnować, twoim promieniem odbłyska,
I pieśń ma wiecznie tylko twém imieniem dzwoni!

Zbiegam lady, lub płynę po mórz modrej toni,
By swobodniej odetchnać pośród fal igrzyska,
Jak malewny na falach kształt masztu, tak zbliska
Z fala mych uczuć postać twa bieży w przegoni.

Otoczyły mię przyjaźń i nadobne lica
I wiosna młoda, ale nic mnie te słodycze,
Bo moja twoim blaskiem stępiona źrzenica.

Tak wiezień co się zstarzał w ciemnościach podziemu,
Na jasne pojrzał słońce, jak twoje oblicze,
Pojrzał, oślepł — dzień świeci, lecz świeci nie jemu.

# VII.

## ŻYCZENIE.

Gdyby za grzeszne mojej młodości westchnienia,
Bóg mię skazał na karę przybrać twarz księżyca,
I świecić grobom—jabym wygiał srebrne lica
W łuk Kupida i tobie posłał grot promienia.

W serce obłędne wpadłby, jak w morze kotwica.
Tybyś o mnie wspomniała w pośród ntęsknienia,
I śledziła w obłokach — w tém łuk się przemienia
Na twarz jasną; ku tobie patrzy ma źrzenica.

I warkocz mój rozplotłszy, srebrnym moim włosem,
Igrałbym po twej piersi, i cieszył się głosem,
Jakbyś o mne śpiewała pieśni ulubione.

A gdyby ci strudzone śmierć zwarła powieki,
Na twarz moję mgły grubej powlokłszy zasłonę,
Dumałbym nad twym grobem nocy, lata, wieki.

* *

# DO OCZEK.

Ach! ja znałem oczki jedne
Co się tak mile świeciły!
Lecz te oczki zgasły biedne
Przedwczesném tchnieniem mogiły!

W nich były moje nadzieje,
W nich me niebo znajdowałem,
Przy nich na szczęścia koleje,
Na zmienne losy nie dbałem.

Póki mi na życia drodze
Świecił promień ich życzliwy,
Chociaż los mię gnębił srodze,
W nieszczęściu byłem szczęśliwy.

Przez kraty, w ciemne więzienie,
Blask się do mnie ich przedzierał,
I rospaczy płoszac cienie
Raj dokoła rozpościerał.

Teraz gdy te oczki drogie
Smiertelnym zagasły mrokiem,
Ach! na zawsze chwile błogie
Znikły już przed moim okiem!...

Żeglarz, gdy gwiazdka nie świeci
Co mu przewodniczka była,
Płynie śród morskich zamieci
Gdzie go wichrów pędzi siła.

Równie bez celu, nadziei,
Przez burżliwe życia tonie,
Płynę, aż nim mnie z kolei
Odmęt wieczności pochłonie!

*G. Szepielewicz.*

# RYBAK.

Ustał raz wietrzyk w Mazowieckiej ziemi
I jasne Wisła rozlewała wody,
Obok wioseczki wodami czystemi
Płynał na łodzi jakiś rybak młody.

Stanałem wedle rybakowej łodzi,
Wołam, młodzieńcze! wołam z całej siły,
Ale wołanie uszu nie dochodzi,
Tylko wyrazy o gaj sie obiły.

I wołam głośniej — rybak podniósł skronie —
— Z jakiejże do nas przybywasz tu ziemi,
Czy za połowem zwiedzasz Wisły tonie,
Czy serce bawisz obrazy pieknemi? —

— Jeżeli połów do nas cię przywodzi,
Każ się zatrzymać u nas twojej łodzi,
Niema nad Wisłę hojniejszego zdroju
Znajdziesz nagrodę twej pracy i znoju.

A jeśli wdzięki wabią cię krainy,
Wyładuj u nas — gdzież zieleńsze gaje
Kwiecistsze smugi i milsze dziewczyny?
Nie ma tak pięknych jak Mazowsza kraje.

Lecz on nie słuchał i odrzucił wiosła,
Ani go wiosny bawił obraz luby,
Płynął i płynął gdzie go woda niosła
W spienionych falach zdał się żądać zguby.

»Połów, chęć zysku? — nie widzisz żem młody,
»Nie pragnę zysków — byłem ja bogaty,
»Z siecią szczęśliwy; teraz na brzeg wody
»Sieci rzucone gniją obok chaty.

»Piękność krainy? o, nasza wioseczka
»Pośród doliny, na końcu dąbrowy,
»Nad raj piękniejsza; łąką płynie rzeczka
»Wkoło ją wieńczy z łóz wianek majowy.

»Świetniej nad błonie, nad nasze bławaty,
»Żywiej nad czyste błoń naszych strumienie
»Me dnie płynęły — tam byłem bogaty,
»Wesół, kochany . . . lecz precz to wspomnienie!«

I zamilkł — błysnął obłąkania wzrokiem,
Łódź się ślizgała lotnej strzały krokiem,
Za nią sinawe bystrej Wisły fale,
Darmo zachęcam, naszę wioskę chwalę:

— Młody rybaku znam twoje męczarnie,
Śród zabaw naszych ukoisz twe rany,
Przestań rozpaczać, niech nie płyną marnie
Twe lata — będziesz tu wesół, kochany.

Zamiast pocieszyć smutek mu dwoiłem,
Już mię nie słuchał, ani się oglądał,
Świat mu był czarnym i życie niemiłem,
Szczęścia nie pragnął, śmierci tylko żądał.

Założył ręce i utopił wiosła;
Znów nieruchome w niebo podniósł oczy,
I kędy wiecznie wiatr bój z morzem toczy,
Tam igrającą Wisła łódkę niosła.

I jak Wiślane wody giną w dali,
Tak znikł mi rybak. A choć dotąd śledzą,
Choć wszędzie krewni, znajomi badali,
Dotąd o młodym rybaku nie wiedzą.

W całej wsi smutno, — rzewnie płaczą krewni,
Smutni znajomi i drużyna cała,
Płaczą go słudzy, — ale płacze rzewniej
Ta co mu płocho szczęście pomieszała.

Warszawa 1837 r. *D.*



# RÓŻA.

Śród kwiatów i krzewin kwitnacych wokoło,
Nadobna jak perła i świetna jak zorza,
Wznosiła rumieńcem oblane swe czoło
Piastunka mych marzeń, ideał mój — róża.

Przybiegłem, w zapale by zerwać niebianke,
Przycisnać do piersi i piersi mych tchnieniem
Ma dusze w nia przelać, lub martwa kochanke
Zapomnieć na wieki z śmiertelném cierpieniem.

Przybiegłem, niestety! pójrzałem na kwiatek,
I zamiast mej róży cierń ostry schwyciłem,
Odszedłem raniony, klnac srogi ten datek,
I odtad ma róże na zawsze straciłem.

O luba! ta róża nadobna tyś była,
Jak perła na ziemi, jak gwiazda na niebie,
Tak między Litwinki urokiem świeciła,
Nie wiedzac żem kochał, aniele mój ciebie!

Tyś drogie twe serce drugiemu oddała,
A w piersiach jam jeszcze piastował nadzieję,
Wyznałem ci miłość byś moja została,
Lub żebym dokonał mych nieszczęść kolcje.

I tyś nieczułości mie cierniem raniła,
Odszedłem z boleścia klnac miłość tajemnie,
Ach! bywaj mi zdrowa, kochanko ma miła,
Ja zginę . . . . ty będziesz szczęśliwa bezemnie!

*L. P.*

## W dzień imienin Józi O.....

Już Bóg wszechmocny wyroków spełnieniem
Los ci udzielił i odliczył lata,
Dał ci anioła i wiary promieniem
Opatrzył duszę dla żeglugi świata.

Dla tej żeglugi gdzie myśl pełna trwogi
Przed nami wszystko gęsta mgła pokrywa,
Jedna gasnaca tylko uczy drogi
Lampa, która się cierpieniem nazywa.

Lecz w czasie burzy anioł twym sternikiem
Łódź poprowadzi w niebezpiecznym biegu,
I duszy twojej niebieskim promykiem
Perłę pociechy ukaże na brzegu.

Jeżeli przeszłcj niedoli wspomnienie
Odnowi smntek w posępnej idei,
Ukaże anioł cieszac twe zmartwienie
W stepach pamiatek gorzkich — kwiat nadzici.

Pod skrzydłem jego sen oczu niezdradzi,
I gdy od wschodu dzienny błask doleci
Godziny rajskie dla zabaw sprowadzi
Rajskiem weselem czoło twe oświeci.

Lecz tylko, Józio, cnotę, miłość Boga,
Miej zawsze w sercu w ciagłym życia biegu,
Gdy ci daleka jeszcze będzie droga,
A już ja wtenczas będę na noclegu.

*Jan B.*

# Losy serca.

## POWIEŚĆ.

Der Zug des Herzens ist des Schicksals Stimme.
Schiller.

Lecę, gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieńce plotę,
Piękność, miłośc, czucie, wiarę
Na ogniwo spajam złote.
J. B. Zaleski.

### I.

Tęskny, zamyślony, z głową na piersi skłonioną, siedział Edward S * * przy oknie jednego z najozdobniejszych domów

malowniczych Popław; wieczór był pogodny; samotny widnokrąg, ozłocony zaszłem słońcem, jaśniał posępnym blaskiem; promienie wschodzącego księżyca zaczynały już igrać na powierzchni szemrzącej Wilejki; głos wieczornego dzwonu rozlegał się w powietrzu, a blada mgła opadając w oddali na łąki i góry, przydawała im tego tajemniczego widoku, tego czarownego powabu, który mimowolnie sprowadza tysiące dum do duszy, i unosi ją, w przestrzenie niewidomego świata ułudy. — Dusza Edwarda upojona tym urokiem wieczoru, i skłonna przytém z dziecińśtwa do żywych wrażeń, głębokich uczuć i wyniosłych pomysłów, nie mogła się oprzeć tajemnéj mocy marzenia, właściwego zawsze sercóm, noszącym w sobie zaród poezyi, — iskrę nieba, która rozżarza z latami wszystkie uczucia w płonące wiecznie ognie.

Edward był poetą, czyli raczej, świat nazywał Edwarda poetą. — W rzeczy samej, miał on duszę napełnioną wysokiémi pomysłami, miał i serce ozdobione żywem uczuciem. Być może Edward nie zupełnie pojmował do czego naznaczyło

go przyrodzenie; lecz nie był on z liczby tych, którzy się za młodu oddają szalonym burzom uczucia, usiłują zgłębiać to, co jest niezbadanem w przyrodzeniu, utwarzają w wyobraźni jakieś dziwne, zaledwie nie śmieszne ideały, narzekają na własne serce, jedynie dla imienia, dla podchlebnego nazwania poety. Edward walczył z uczuciami serca, bo uczucia te były zbyt silnémi, by mogły ustąpić władzy rozsądku; oddawał się wrażeniom przyrodzenia, bo czuł że to było konieczną potrzebą jego duszy; wzdychał, lecz nigdy nie narzekał na własne serce, bo wiedział iż te pierwsze chwile uniesienia, te pierwsze dni serdecznej burzy były zbyt drogie dla osób, które tysiąc razy droższémi były dla jego serca. Wychowany zgodnie z swém urodzeniem, lubiony czule od rodziny, nabył on w młodych latach jeszcze tej giętkości umysłu i tkliwości serca, które zniewalają każdego, kto prawdziwie, umie cenić zalety duszy. W czternastym roku, zostawszy sierotą z starszym swym bratem Aleksandrem, opłakał stratę matki i ojca, — i wrodzona mu tkliwość zamieniła się odtąd w cichą

tęsknotę. Prawda, świetność życia i uciechy towarzyskie były dla niego jeżeli nie miłe, to przynajmniej powabne, lecz to tylko wtenczas, kiedy niezakłócały zbytecznie myśli jego przywykłych do smętnéj spokojności. — Najdroższą pracą Edwarda było czytanie utworów poetycznych; najprzyjemniejszą rozrywką — muzyka. Bajron i Beethowen byli źródłem wiecznie żywém, wiecznie świeżém, z którego dusza Edwarda czerpała osłodę: — tkliwe i ponure, lekkie i wyniosłe rymy wielkiego poety; tęskne i żywe, uładzające serce i rozdzierające dusze dźwięki nieśmiertelnego artysty, — te dwie wysokie oratorye tonu, już w kwiecie życia zniewoliły serce Edwarda, i rozniecily w nim pierwszą iskrę poezyi. Nie dostawało jeszcze, iż tak powiem, narzędzia, coby nakoniec mocno i śmiało tknęło drżącą już w piersiach jego strónę; narzędziem tém stała się miłość, — i strona serca zaczęła piosnkę......

Pewnego razu w śliczny dzień Maja, rozstawszysię Edward z bratem swoim Aleksandrem, odjeżdżającym do Warszawy, przechadzał się pełen dumania pomiędzy

cienistemi allejami Zakretu; wszystko było pogrążone w cichości; wiatr nie igrał liściami, wody nie szemrały między piaszczystemi brzegami; tylko wysoko pośród tłumnych obłoków dzwięcznie się rozlegał poranny hymn skowronka, witającego wschodzące słońce. Usiadłszy na murawie, Edward zaczął czytać książkę; w tej że samej chwili ukazał się z poza krzaków starzec uwieńczony siwizną; za nim szła 17-toletnia dziewica, w skromnej lecz ozdobnéj odzieży, wiodąc za rękę ładną jak aniołek raju dziewczynkę. — Zbliżywszy się wolnym krokiem ku miejscu gdzie w cieniu rozłożystego klonu spoczywał poeta z utopionym w książce wzrokiem, starzec usiadł na starym, otaczającym aleję murze, i ze skłonioną na piersi głową, zaczął kreślić gałązką po wilgotnym piasku. Tymczasem Zofia i Olesia, — tak się nazywały dwie córki poważnego starca, — zajęły się zrywaniem rozkwitłych gdzie nie gdzie fiołków, nie zważając wcale na przytomność nieznajomego im męszczyzny. — Spostrzegł Edward Zofię — i żywy rumieniec pokrył lica młodziana; rysy jéj twarzy pełne wyrazu u-

czucia, nie były mu nieznajome, a spojrzenie które mimowolnie rzucił na nią, świadczyło iż nie mógł być obojętnym widzem powabów i zabawy młodej dziewczyny. Upłynęło minut kilka. Olesia z lekkością motylka przebiegała od kwiatu do kwiatu; ujrzawszy parę pierwiosnków rozkwitłych przy drzewie, pod którem odpoczywał Edward, zbliża się zwolna, lecz nie śmiejąc podejść do kwiatku, cofa się nazad, i chodząc w bliskości spogląda ciągle na łudzące ją kwiaty. — Spostrzega to Edward, i zerwawszy pierwiosnki, nieśmiałej je podaje dziewczynie, która mu mile podziękowała, i z radością pobiegłszy do siostry, oddała jej jeden z pierwiosnków, a drugi ukryła w ułożonym świeżo bukieciku. — Zofia przyjęła z ukontentowaniem kwiatek, i uśmiechnąwszy się rzuciła żywo przemawiające spojrzenie na Edwarda, jak gdyby chcąc mu dać do poznania, iż i jej miło było przyjąć kwiatek zerwany jego ręką. — O! w tem spojrzeniu poeta wyczytał mowę jej serca! w niem jak w krysztale zdroju, odbiła się jej dusza! Edward nie mógł nie westchnąć rzucając

ostatni raz wzrok na Zolię, gdyż, — pierwej niż słońce wysoko się wzbiło po nad las i góry, — starzec z córkami daleko był już od Zakretu. — »Nie, to nie było złudzenie wyobraźni!....» rzekł Edward, i wpadł w głębokie zadumanie. Wszystko wokoło niego oddychało nowem życiem, — życiem wiosny; wszystko było ciche, czyste, jasne; tylko jedna dusza poety okryta była ciemną powłoką tęsknoty.....

Odtąd poezya stała się jedyną osłodą młodziana. Były chwile, w które serce jego, napełnione zbytecznie uczuciami, szukało istoty przed którą by mogło wynurzać swe żale i cierpienia... Mówię żale i cierpienia, bo Edward już cierpiał, bo ta młoda, żywa wyobraźnia, karmiona jedynie zapałem i marzeniami, te zawsze świeże, zawsze ulotne dumy, nie mogły się oprzeć tajemnej niespokojności, zarodzonej w duszy jego jednem spojrzeniem młodej i czarownej jak niebianka dziewicy. Były dni w które chłodny rozsądek truchlał przed zapałem serca; były nocy, w które tęskne serce prosiło osłody u rozsądku, prosiło cichej, pocieszającej minuty. — Oczarowany powaba-

mi Zofii, łudzony nadzieją jej widzenia, Edward starał się w ciągu całej wiosny ujrzeć tę, której wizerunek przypominał mu się co chwila. Lecz naprożno!... Kto była Zofia, gdzie się podziała, i co było przyczyną oddalenia się jéj z miasta, — oto były myśli, które ciągle zajmowały głowę młodego poety.

Nakoniec nastąpiło rozwiązanie zagadki. — Edward przechodził przez ulicę Ostrobramską, właśnie natenczas, gdy w kaplicy odprawiano litaniję. W tłumie ludu modlącego się wśród ulicy przed cudownym obrazem matki Boskiej, spostrzega dwie damy klęczące przy jednym z filarów galeryi. — Jedna z nich pokryta była ciężką żałobą. Zbliża się od nich niepostrzerzony, przypatruje się i poznaje twarz Zofii..... Zadziwienie, radość, nadzieja napełniły duszę Edwarda! Po prawéj stronie jéj towarzyszki stał męszczyzna okryty czarnym płaszczem. Tłum modlących się niedozwalał jednakże Edwardowi, rozpoznać dobrze rysów jego twarzy. Po skończonem nabożeństwie Zofia odjechała ze swoją towarzyszką, a nieznajomy męszczyzna udał się szybko

w przeciwną stronę; Edward powrócił do domu i w zamyśleniu przępędzał te chwile od których zaczęliśmy nasze powieść.

Zegar uderzył wpół do dziewiątej; ulice zupełnie opustoszały; wszystko było pogrążone w milczeniu, — tylko wdali śród krzaków głucho szemrała wesoła rzeczka. Oparty o okno Edward patrzał na ulicę. Niedługo widzi wychodzącego z jednego z sąsiedzkich domów męszczyznę... przypatruje się i z odzieży poznaje tego samego nieznajomego, którego widział przedtém przy Zofii i jej towarzyszce. Nie przeszło pięciu minut, jak drzwi się nagle otworzyły i do pokoju wszedł nieznajomy.

Edward z zadziwieniem wstał z krzesła,

«Edwardzie!»

«Aleksandrze!»

Rodzeni bracia ze łzami rzucili się w objęcia.

«Aleksandrze, tyś tu, śród rodziny, a ja o tem niewiedziałem» — rzekł Edward, ściskając rękę brata.

«Nie ma się czego dziwić, kochany bracie — przyjechałem do Wilna wczoraj

o północy; dzisiejszy ranek musiałem przepędzić u jednych z moich znajomych, a potem poszedłem szukać twojego mieszkania. — Lecz dosyć o tém; wspomnienia przeszłości otaczają zawsząd mój umysł... Mój Boże!... rok tylko rozdziału, a ileż to wspomnień, ile uczuć, ile przemian!.....»

«Aleksandrze! jedna chwila, dzień jeden zmienia nasze uczucia, myśli, chęci; — a rok cały, jest to wieczność dla serca i tem bardziej dla serca, które czuć umie, lecz z nikim nie podziela swego uczucia. I dla tego to gorące składam dzięki niebu, że cię wróciło znowu na łono rodziny, w objęcia kochającego brata!»

«Tak jest, Edwardzie; rok jeden może się nam wydać bez końca; lecz rok, który przepędziłem w oddali od was, przeleciał przedemną jak jedna chwila... Bo tylko same cierpienia zwolna się wloką, a radość przemija jak sen, jak złudzenie wyobraźni!....»

«Cierpienia, radość!.... O! te dwa wyrazy rozdziela dla mnie cała wieczność!.. Ale poco budzić serce?... Daj mi rękę,

bracie; bo słodko wspominać dni przeszłe, słodko dumać o przyszłości tylko z tymi, którzy czują tak jak i my czujemy. Wiem dobrze, Aleksaudrze, że niezechcesz niczego skrywać przedemną, opowiesz mi wszystko, odkryjesz serce i duszę... »

«Jest to potrzebą mojego serca, któremu ciasno, duszno w piersiach... Opowiem ci Edwardzie, całą powieść mojej przeszłości, obfitą w uczucia, — a uczucie wszakże żywo przemawia do serca, — tém bardziej do serca rodzonego brata. Słuchaj, Edwardzie.»

Bracia z radością usiedli jeden obrok drugiego, i Aleksander zaczął opowiadanie. »

## II

«Bystro mijały mi dni od chwili opuszczenia rodzinnego domu. O! Edwardzie! co się stało ze mną?..... Jakiś niepojęty żal nopełniał moje serce, mimo wszystkie uciechy, które mię śród drogi

otaczały. Była li to skryta tęsknota po opuszczonej rodzinie, czyli też tajemne przeczucie przyszłości — niewiem tego. Czułem dobrze że serce moje, jeżeli niebyło wtenczas zupełnie wolne od kochania, to przynajmniej wrażenia pierwszej namiętności, ugasłéj razem z ugasłą nadzieją, były tak słabe, iż nie mogły mię zniechęcić do przedsięwziętej przezemnie podróży. Po kilku nowej drodze ujrzałem nakoniec Warszawę. Wiesz już z listów moich, kochany Edwardzie, jak spędziłem pierwsze dni mojej tam bytności; pisałem do ciebie nieraz, co było przyczyną moich radości i smutkow, nadziei i wspomnień, żalów i trwogi. Lecz słuchaj; powtórzę ci jeszcze krótką powieść mojego serca.»

«Jedną z najprzyjemniejszych rozrywek w ciągu pobytu mego w Warszawie, były przechadzki za miastem, osobliwie śród ponurego smętarza. — Pewnego razu, gdy słońce skryło się już za wzgórza, przechadzałem się tam samotny z sercem napełnionem nowemi wspomnieniami. Wieczór był posępny. — Przy jednym z grobowych kamieni spostrzegłem mło-

dą kobietę w żałobie, która klęczała na świeżo zrobionej mogile, razem z małą dziewczynką odzianą w białą sukienkę, a przy nich w niejakiej odległości podeszła staruszkę. Nie chcąc przeszkadzać ich modlitwie siadłem na kamieniu za topolą. Patrzę.... upływa chwil kilka... serce mi bije gwałtownie... Wtém młoda nieznajoma odwraca głowę w tę stonę, gdzie siedziałem zupełnie przed nią zakryty, i ukazuje mi swe lica ożywiona rumieńcem i błękitne oczy pałające tym lekkim, lecz do niewypowiedzenia uroczym ogniem, który tylko może płonąć w duszy młodéj i pięknej kobiety, wylewającej na grobie łzy smutku po drogiéj dla serca utracie... Modliła się znowu.,.. Ach, Edwardzie! wszystkie uczucia, cała dusza zlała się w moim wzroku. którym zatopił w licu nieznajoméj dziewicy, tak uroczéj jak pogrążona w boleści Magdalena, tak posępnéj, jak samotna lilija śród martwéj mogiły... Tak jest, nie napróżno ktoś powiedział że kobieta na mogile — poezya! W rzeczy saméj, była to scena czarowna: tam, na mdławym błękicie nieba zwolna płynał między chmurami księżyc, okryty swoim

białym, tajemniczym całunem... tam w oddali, głucho zamierały dzwięki, wieczornego dzwonu.... tu chłodny wiatr szemrał między krzakami, posępnie ozdabiającémi wpółzniszczone ręką czasu groby, i wreszcie śród tych martwych głazów i wierzb płaczących modliła się młoda kobieta w żałobie, ze łzą w światłém oku, z żalem w czystém sercu, jak gdyby anioł pokoju między ziemią i niebem. .... O! jeżeli to nie jest wysoki przedmiot dla poety, to niech mi powiedzą czém że jest wreszcie poezya?. .

Gdy wstały, odszedłem nieco dalej, i zbliżyłem się ku jednemu z najokazalszych nadgrobków, by przeczytać wyryte na nim wiersze.

«Ach, Zosiu, rzekła dziewczynka, obracając się ku młodéj nieznajomej, i spoglądając na mnie z za krzaka; jak ten Pan podobny do tego, co mi dał wtenczas, pamiętasz, dwa pierwiosnki. Czyż nie prawda?»

Dziewica w czarnej sukni nic nieodpowiedziała.

»A gdzie twój pierwiosnek, Zosiu? mówiła znowu dzieczynka, usiłując dopę-

dzić swoję siostrę. Zapewnie już usechł; ach! jąka szkoda! »

«Olesiu, Olesiu! pójdziemy do domu... widzisz chmury na niebie; ja się boję deszczu »

»I ja się boję, Zosiu.»

Nic więcej nie słyszałem. i gdy wyszedłem z zakrzaków, aby powrócić do domu, Zofia z wesołą swą siostrzyczką i ze staruszką były juz daleko odemnie.

Powróciłem do domu; noc przeszła w niespokojności.. Wrażenie sprawione na mnie modlitwą młodej nieznajomej, było tak mocne i głębokie, iż nie mógłem zmróżyć oka prawie aż do samego świtu. Rozogniona wyobraźnia wystawiała mi bezustannie obraz pięknej Zofii; lecz kto była Zofia?.... Napróżno nazajutrz przepędziłem dzień cały na przechadzkach, w nadziei iż spotkam tę, której wdzięków stałem się w chwil kilka niewolnikiem. Tęsknota napełniła moję duszę... Chodziłem i dumałem ciągle; wszystko, nawet i to, co sprawiało mi tysiące uciech do chwili zobaczenia Zofii, której nieznałem, lecz którą kochałem już namiętnie, stało mi się ciężkiem, nuduem, nieznośuém...

Tak upłynęły dwa tygodnie... Nakoniec w końcu Lipca, przychodzi do mnie pewnego poranku nieznajomy człowiek i oddaje mi list adressowany na moje imię. Rozpieczętowałem go zaraz; ręka zupełnie mi była nieznajoma; mogłem jednakże poznać, iż nie należała do męszczyzny. List ten zawierał następne wyrazy:

«Spodziewam się, iż Pan łaska-
«wie mi wybaczy, że będąc zupełnie
«mu nieznajomą, skreślam do niego
«te kilka wyrazów. Okoliczności
«w których zostaję zmuszają mię pro-
«sić go o to, co się mu może wy-
«dać zupełnie obcém, lub niepodob-
ném do uskutecznienia. Po zgonie
«Pana ***, mojego szwagra, z którym
«razem przyjechałam z Wilna, widzę
«konieczna potrzebę pośpiesznego po-
«wrotu do Litwy. Dwie sieroty,
«córki Pana ***, składają całe moje
«rodzeństwo. Puścić się samej je-
«dnéj z niemi w drogę jest rzecza
«niepodobną Dowiedziawszy się
«więc wczoraj że i Pan udaje się
«w tych dniach napowrót do Litwy,
«ośmieliłam się udać się do niego

«i prosić o towarzyszenie nam w dro-
«dze. Polecając się jego dobroci,
«mam nadzieję że nie odmówi méj
«prośbie, i uprzyjemni nam dzisiej-
«szy wieczór swoją bytnością. Zo-
«staję mu życzliwą,

B***.»

Zdumiałem się nieco po przeczytaniu tego listu, Spytawszy się oddawcy onego, kto była jego Pani i gdzie mieszkała, kazałem mu powiedzieć iż będę niezawodnie wieczorem. Gdy zegar uderzył szóstą, udałem się zaraz do mojéj nieznajoméj rodaczki. Była to ta sama staruszka, którą widziałem na grobie razem z Zofią i małą Olesią; przyjęła mię z ukontentowaniem, i prosiła abym był przyjacielem jéj domu. Opowiedziała mi w krótkości przyczyny dla których zmuszoną była tak prędko wracać na łono rodziny; — ja zaś z swojej strony wyznałem jéj że przystaję z ochotą na towarzyszenie jéj w drodze. Po kilku chwilach rozmowy, udaliśmy się do ogrodu śród którego w niewielkiej altance siedziała na kanapce młoda dziewica w białéj sukni i czarnéj chustce, z młodszą swą

siostrą, odzianą także w załobę. Edwardzie! krew zastygła w żyłach moich.. Była to Zofia!... wzrok mój spotkał się z jej wzrokiem, — uczułem jak ogień wystąpił mi na twarzy....

«Są to moje siostrzenica, rzekła Pani B***, i łzy zalśkniły się w jej oczach; biedne sieroty,—mówiła przytłumionym głosem, — w przeszłym roku straciły matkę, rodzoną moją siostrę; tu zaś przed miesiącem opłakałyśmy razem śmierć ojca. Zostały same pod moja opieką, gdyż to było ostatnią wolą i ostatnią do mnie prośbą umierającego starca. Ach! czegoż bym nie użyła dla uszczęśliwienia tych tak drogich sercu mojemu dzieci!»

Łzy prysnęły z oczu dobrej staruszki; otarła je i podając mi rękę, rzekła: Bądźmy przyjaciółmi» Po czém udaliśmy się na powrót do pokoju, gdzieśmy już zastali Zofię i Olesię.

Na prózno bym opisywał ci pierwsze dni znajomości mojej z domem Pani B***; Wyznam ci tylko, iż gdym opuścił ich mieszkanie, kochałem już gorąco Zofię.., Dnie leciały za dniami, chwile za chwilami. Myśli ginęły w myślach, a serce za-

palone nową miłością biło gwałtownie, żyjąc jedną tylko nadzieją, — Czułem że Zofia nie była dla mnie obojętną, bo chociaż w jéj rozsądnych i pełnych powabu rozmowach, niesłyszałem ani jednego wyrazu, który by odkrył mi trjemnicę, lecz jéj spójrzenia — te iskry płonącego w piersiach ognia, — przemawiały mi jawnie o jéj uczuciach, — a częste, mimowolne westchnienia przekonywały że nadzieja moja nie może być zawiedzioną, Tak przeszło dni kilka; zbliżyła się chwila odjazdu; ruszyliśmy w drogę, — Pani B*** była prawie zawsze zamyśloną; Zofia tęskniła, nieraz nawet płakała po stracie ojca; Olesia igrała bezpiecznie z kwiatkami, które dla niéj zbierałem po drodze. U mnie jednego tylko serce żyło teraźniejszością: żadne wspomnienie przeszłości nie oburzało mojéj duszy... Dzień i noc dumałem o Zofii, a będąc ciągle przy niéj, utapiając wzrok mój w jéj wzroku, oddychając jéj tchnieniem, czyliż mogłem narzekać na przyszłość zatrutą ciężkiemi strapieniami i trudnemi ofiarami serca, które przeznaczenie dozwoliło

mi wreszcie okupić nową ofierą, — nową miłością, miłością ku pięknej Zofii....

Jednego wieczoru po zachodzie słońca, ja z Zofią i Olesią wyszliśmy z pojazdu, i tym czasem gdy konie zwolna poszły po piasczystéj drodze, udaliśmy się za niemi po twardéj i pokrytéj żółkniejącą trawą ścieżce. Kilka minut panowało milczenie.

» Zdaje mi się, rzekła nakoniec Zofia, że całe przyrodzenie szepce teraz modlitwę Najwyższemu: tak wszystko jest ciche, tajemne.. ..»

«Prawda, Pani, odpowiedziałem; wszystko spoczywa w ciszy, wszystko oprócz serca ludzkiego, pełnego.....»

»Tajemnicy, chcesz Pan zapewnie dodać, przerwała mi z żywością Zofia, i lekki rumieniec pokrył blade jéj lica.»

«Być może, odpowiedziałem westchnąwszy.»

«Pan musisz być poetą?...»

«Nie, Pani; lecz czyjeż serce nie zadrży tajemnie wówczas, kiedy śród spoczynku całego przyrodzenia, czuwa przy nim istota, dla któréj jedynie ono bije, dla któréj pragnie bić wiecznie.....«

«Pan mówisz o sercu tkliwém?»

«Mówię o sercu, które umie kochać i może być kochane.»

«Może...» — szepnęła Zofia i znowu się uśmiechnęła. — Rozmowa nasza przerwaną była wezwaniem Pani B*** do pojazdu; puściliśmy się szybko w dalszą drogę. W końcu trzeciego dnia po tym pamiętnym wieczorze, byliśmy już na brzegach Niemna, a wczoraj ujrzeliśmy rodzinne progi. Pani B*** prosiła abym i na łonie ojczyzny nie przestawał być jej przyjacielem. Spojrzenie Zofii pełne czułości było jedyną nadgrodą za moją przyjaźń, a głębokie westchnienie, które się wyrwało z mych piersi, tajemną odpowiedzią ubóstwiającego ją serca.»

Aleksander westchnął; Edward milczał a lica jego pałały ogniem... Cała budowa marzeń i nadziei młodego poety runęła w okamgnieniu, i ciężkiemi gruzami przywaliła serce!

«Edwardzie, mówił Aleksander, wiadomo ci jest, że okoliczności zmuszają mię oddawna opuścić na czas niejaki Wilno; majątek mój znajduje się w stanie, który wymaga własnego mojego zarzadu i nie-

mało trudów. Po jutrze wyjeżdżam na wieś; boleśnie mi jest opuścić znowu ciebie, przyjaciół i Zofię, — lecz cóż mam robić?..... Przyszłość się uśmiecha, serce nie powinno tracić nadziei.»

Aleksander zamilkł, a Edward ciężko westchnął.

«Ale pierwej niż cię opuszczę, mówił dalej Aleksander, muszę cię poprosić o jedno, czego mi zapewnie nie odmówisz. Właśnie dziś zrana Pani B*** prosiła mię abym się wystarał dla Olesi dobrego nauczyciela muzyki. Znam twoje zdolności, znam twoję dobroć i spodziewam się że nie zechcesz mi odmówić, i weźmiesz na się obowiązek uczyć dziecię którego skłonności rokują już dzisiaj posłuszną i miłą uczennicę. Przytem rodzeństwo Pani B*** jest zbyt dla mnie drogie, abym zaprzestał i woddali o niém się troszczyć, i zapomniał o chwilach które tak przyjemnie przepędziłem z ubóstwianą przezemnie osobą. Położonie tego domu zniewala mię do przedsięwzięcia środków, które by mogły ulżyć na starość troskom zacnej staruszki, a przyjaźń podzielana z taką szczerością, od całej jej rodziny dozwala mi

myśléć że i ty będziesz zarówno lubiony i szacowany.»

Edward zamiast odpowiedzi wstał i zaczął przechadzać się po pokoju, aby skryć burzę, która miotała jego duszą.

«Rok rozdziału, tylko rok, rzekł Aleksander, a ileż to przemian we wszystkiém? I ty, Edwardzie, uległeś, jak widzę, czemuś, co co cię tak tęsknym i niespokojnym czyni. Bracie drogi! odkryłem ci własne serce, pocóż więc nie chcesz być ze mną otwartym?»

«Nie, kochany Aleksandrze, naprożno byś się starał zbadać to co jest niezbadaném, pojąć to, co jest dla mnie samego niepojętém.»

«Wy, poeci, zawsze marzycie o czémś niezbadaném, niepojętém, — odpowiedział Aleksander, i niechcąc się więcej narażać, wstał z krzesła, i uścisnąwszy brata, którego kochał czule, zaprzestał rozmowy szczęśliwą przyszłością zajęty.

Lecz inaczej się działo z Edwardem. Cała przeszłość została odnowioną w jego wyobraźni; przypomniał on sobie ów dzień, w którym po raz pierwszy ujrzał Zofię w Zakretowym gaju, i stawszy się

niewolnikiem jej wdzięków, zaczął nieznany od niej pałać skrytą namiętnością. Dotychczas niewiedział kto była Zofia, niewiedział nawet gdzie zostawała; trapił się długo. Teraz okoliczności odkryły mu tajemnicę; poznał bowiem kto była Zofia, i z rozdartém boleścią sercem, utracił ostatnią nadzieję. — «Zofia go nieznała» — myśl ta była dla niego więcej niż straszną. «Zofia zyskała miłość drugiego» — myśl ta jakby roztopiony kruszec paliła jego piersi. Zaledwie poznał co to jest miłość, a już musiał się stać ofiarą rospaczy, i co gorsza, ofiarą zazdrości ku rodzonemu bratu, którego tak szczerze kochał, i którego szczęście przywykł nazywać swojém szczęściem. — O! jak często los nielitościwie igra z tymi, którzy sprawiedliwie zasługują na jego względy, i zawcześnie gasi iskrę życia w piersiach stworzonych, być może, jedynie dla odgłosów sławy, lub dla osłody drugich wpośród trosk i niedoli!.....

Znużony czarnemi myślami, Edward udał się na spoczynek z bratem, któremu niebo przeznaczyło wydrzeć mu wszystko, co tylko jest miłe w życiu, i razem stać się

samemu ofiarą okropnego losu. Noc znikła, wstały poranne zorza.

## III.

Zofia nie była z liczby tych okrzyczanych piękności, które tak wcześnie zaczynają panować śród świata, i tak wcześnie gasną, nic po sobie- nie zostawując, oprócz ciemnych wspomnień steranej w próżnych zabiegach młodości, — nie była obdarzona od przyrodzenia zbyt szczególnémi wdziękami; — lecz rysy jej twarzy nosiły na sobie piętno, wygórowanych uczuć i żywego umysłu, lecz jej pełne ognia i błękitne jak niebo oczy; usta stworzone jedynie dla wynurzania przyjaźni i miłości, lekka i powabna kibić głos dzwięczny i donośny mogły od pierwszego razu zniewolić najzimniejsze serce, najnieczulszą duszę.

Tkliwa i wesoła, rostropna i namiętna, szczera i wyniosła, — oto były przymioty młodej Litwinki, której powaby

wzniecały miłość w sercach dwóch rodzonych braci Edwarda i Aleksandra S**.

Zofia zaledwie ukończyła 16-y rok życia a razem i nauki swoje, została sierotą z małą swoją siostrą Olesią. Pani B*** zastąpiła dla nich miejsce matki; przywiązana do swych młodych siostrzenic, i nawzajem czule od nich kochana, pędziła spokojnie swoją starość śród krewnych i znajomych u których za dobroć zyskać potrafiła przyjaźń i szacunek.

Tęskne były pierwsze dni samotności Zofii; pamięć dwóch strat tak drogich dla każdego serca, tkwiła boleśnie w duszy sioroty

Zofia stała się ponurą, zamyśloną serce jej było dotąd wolne — od namiętności. I oto nakoniec Zofia została kochaną, i sama się stała ofiarą miłości; niewinne, czułe było to pierwsze uczucie dziewicy. . Lecz komu niebo przeznaczyło być jego przedmiotem? ... Aleksandrowi?.. Aleksander tak myślał, gdyż miał prawo tak mysleć, bo sam ubóstwiał Zofię, sam się trąpił w miłości. Ale jak srodze się mylił!.. jak prędko powinien był utracić najmilsze w życiu nadzieje!...

Są ludzie, co dziwniej, są młodzi ludzie, którzy niechcą wierzyć w miłość roznieconą w sercu kilku spójrzeniami, kilku wyrazami, — prawdziwą, czystą, idealną miłość.... są, którzy patrzą na serce człowieka, nie jak na najdroższą nasze cząstkę — to źrzódło natchnienia, nadziei, smutków, radości, — lecz jak na zlepek, w którym krew płynie, a płynie dla tego tylko ażeby żyło, które bije, a bije dla tego że się w niem krew sączy... Są jeszcze tacy co się śmieją z uczuć, szydzą z cierpienia, przyjaźń i miłość nazywają szaleństwem.

«Lituj się nad smutną roztropnością takich ludzi!» — mówi jeden pisarz. W rzeczy samej, ci ludzie nie pojmują życia człowieka, nie pojmują że młodość jest wiosną tego życia, i że poezyą młodości jest przyjaźń i miłość. A kiedyż mamy zrywać strojne kwiaty tej wiosny, kiedy się mamy napawać harmonijnemi dzwiękami tej poezyi, jeżeli nie śród błogich chwil, w które serce nasze nie wre jeszcze wpłomieniach rozniecanych trwogami życia, w które dusza jest jeszcze czysta jak natchnienie i swobodna jak

myśl sama, a wola nie tonie w burzliwym wirze chęci światowych?... Kiedyż, powiedźcie mi?..... O! kochajcie młodość, bo ona nie długo nam świta, bo szczęśliwy, stokroć szczęśliwy ten, kto może choć jedną iskierkę uchwycić z ognia posyłanego nam w młodości przez niebo, skryć ją w piersiach, zagrzebać w sercu, i choć raz przed śmiercią powiedzieć z westchnieniem: «Przyjaciele, przyjaciele! i ja kochałem niegdyś!...»

Takie uczucie władało sercem Zofii.

Edward raz tylko był od niej widzianym, raz tylko oczy się ich spotkały, i godzina cierpienia wybiła. Zofia nie zapomniała Edwarda; rok cały rodziału z rodziną mógłby wywiać z jej duszy wspomnienia przeszłości; lecz przy niej była pamiątka, pierwiosnek zerwany ręką Edwarda. Patrząc na niego młoda Litwinka myślała: kwiatku tyś usechł, i ja uschnąć mogę! — Edward także żywo pamiętał, chwilę ostatniego spotkania się z Zofia. Nic na świecie nie mogło zatrzeć głęboko wyrytego w piersiach jego rysu, i smutny poeta dumał wzdychając:

nie dla mnie, nie dla mnie, istniejesz ty Aniele!

Los nakoniec zbliżył dwóch nieznanych od siebie kochanków. Aleksander być może postąpił w tym względzie nierozważnie; kochając tak namiętnie Zolię, czyliż mógł bez obawy oddalać się od niej, i zostawiać nowego przyjaciela, nowego powiernika, rodzonego swego brata, który kochał ją także i był wzajemnie kochany? Lecz któż to mógł przewidzieć, — zbadać przeznaczenie losu i tajemnice serca Zofii?.... Przytem Aleksander kochał czule Edwarda; posępność życia i tęskliwość poety z jednej strony, — z drugiej przyjaźń, której sam doznawał od całej rodziny Pani B***, dały mu powód do wprowadzenia Edwarda do domu, gdzie od wszystkich powinien był zyskać szczery szacunek.

Chwile biegły za chwilami; żałoba rodziny Pani B*** wkrótce się miała ukończyć, i wesołość zwolna wracała. Z pomiędzy dawnych towarzyszek pensyi, najwięcej była lubioną od Zofii daleka jej krewna, Emilia K***, panna trzema laty od niej starsza. Przywiązanie ku niej

Zofii, można było wziąść raczej za pamięć niedawno minionych chwil wspólnego pożycia, niż za czułą i ścisłą przyjaźń. — Emilia całe lato przepędziła u Pani B*** i była świadkiem pierwszej miłości Zofii.

Lecz jak sprzeczny był sposób myślenia dwóch młodych przyjaciółek?

Kiedy ujmująca Zofia siedząc na ganku śród cichego wieczoru, patrzała na mdławy błękit nieba, na światłe promienie księżyca, na blade gwiazdy i czarne chmury, — i westchnąwszy wpadała w głębokie dumanie, Emilia mówiła z uśmiechem: »Zofio! ty znowu marzysz o niebie.« —

Kiedy w chwili skrytego uniesienia, tkliwa Zofia czytając dzieła wielkich poetów, łzy swoje zlewała ze łzami Wertera, swoje żale pocieszała żalami Aldony, westchnienia złączała z westchnieniami Eleonory. — Emilia kiwała głową, i mówiła uśmiechając się znowu: »Poco, Zofio, psujesz książkę łzami?«

Gdy wywierając swe uczucia Zofia mówiła z westchnieniem: »Jak mi dziś tęskno, Emilio!« — Emilia odpowiadała oziębłe: »Czemu ze mną nigdy tego nie bywa!«

Kiedy przechadzając się w strojnym w różnobarwne kwiaty ogrodzie, Zofia zrywała niezapominajkę, i mowiła: »Ja lubię prostotę i niewinność« — Emilia odpowiadała, igrając zwojami piwonii: »Oto jest purpura, emblema władzy i wyniosłości!«

Takie wszakże rysy sposobu myślenia nie zakłócały wcale zgody, która panowała między Zofią i Emilią. Zofia kochała Edwarda, i była wzajemnie kochana; Emilia pałała miłością ku Aleksandrowi, i chociaż wiedziała że Aleksander kochał także Zofię, pocieszała się jednak myślą, że zapomocą miłości Zofii ku Edwardowi, zmusi go wyrzec się próżnej nadziei na wzajemność osoby, która go nigdy nie kochała, i że kokieteryą zdoła odnieść zwycięztwo nad sercem zawiedzionego w nadziejach młodziana.

Razu jednego Zofia i Emilia siedziały sam na sam w ogrodowej altanie; rozmowa od kwiatow zwróciła się na serce, od serca przeszła do miłości.

— »Nie, rzekła Emilia, naprożnobyś się starała, Zofio, przekonać mię że czułość w mężczyźnie jest zaletą zasługującą

na naszę uwagę. Jest to tylko słabość; każda zaś słabość obudza politowanie. . . . A jak biedny ten nad kim drudzy muszą się litować!« —

— »W takim razie, odpowiedziała z uśmiechem Zofia, powinnaś się użalać i na własne serce. . . . « —

— »Rzecz dziwna, przerwała Emilia; starasz się zawsze to uniewinniać, co bynajmniej nie podchlebia własnej twej miłości; — chyba dla tego, że sposób twojego myślenia jest to tylko wrażenie sprawione na twym umyśle przez Edwarda.« —

— »Być może; ale i w takim razie nie miałabym przyczyny ukrywać swoich myśli. . . . Serce rzadko się myli, a nawet i jego błędy mogą mieć więcej mocy, niż pojęcia przez świat i ludzi rozwinięte.« —

— »Zaczynasz filozofować, Zofio, i zapominasz że tem nie ogrzejesz serca.«—

— »O, kto umie czuć, tego serca nic ochłodzić nie zdoła. . . A Edward jest mi milszy nad życie! Nigdym nie skrywała i nie myślę skrywać tego przed tobą . . Są myśli, są uczucia których nic nie

zdoła wyrwać z głębi duszy; ale też są chwile, w których wynurzenie tych myśli i uczuć tak jest potrzebne dla piersi, jak oddech, jak westchnienie... Czyż nie prawda, Emilio? Wszakże i ty kochasz, kochasz Aleksandra?...« —

— »Tak jest, kocham, bo uczucie to jest ogniwo które spaja serce nasze ze światem. — A kto, powiedz mi, Zofio, żyć może nie dla świata?« —

— »Źle sądzisz o sercu, Emilio; kto prawdziwie kocha, dla tego niknie świat cały!« —

— »Pojmuję cię, Zofio. Więc dla miłości swej ku Edwardowi powinnaś znieważać ustawy towarzyskie?« —

— »Przynajmniej pogardzać tém co jest wymysłem światowej próżności.« —

— »Co się tyczy tego, to Aleksander nie znajdzie we mnie naśladowniczki twojego sposobu myślenia.« —

Po téj rozmowie Zofia nigdy już więcej nie zaczynała z Emilią mówić o miłości. —

Pięć miesięcy już prawie minęło od chwili wyjazdu Aleksandra; Edward codzień bywał u Pani B***; Olesia, — pię-

kna, wesoła, dowcipna Olesia, uczyła się dobrze i mogła już nieźle przegrywać większe i trudniejsze sztuki. Zolia zajmowała się czytaniem, rysowaniem, i ręcznemi płci swojej robotami, — i była szczęśliwą. — Jedna tylko Emilia była ciągle strapioną, chociaż tego nie mogła i nie chciała okazywać, bo uczucie to było więcej podobne do skrytego gniewu na przeznaczenie, niż do tęsknoty i żalu po drogiej sercu osobie.

Pewnego wieczora Pani B*** siedziała w swoim pokoju na kanapie i słuchała z Emilią czytającej Olesi. Zolia siedząc w bawialnej przy krosienkach, wyszywała pelą woreczek dla ciotki; Edward przegrywał na fortepianie i śpiewał ścicha pieśn Mozarta: Lacrimosa dies illa.

— »Trudno mi jest nie zadrzeć, rzekł on wstając z za fortepianu, ile razy tylko pieśń tę zaśpiewam lub usłyszę. Dziwna jest władza muzyki!« —

— »Zwłaszcza gdy jest dziełem wielkiego artysty, i gdy wykonywaną bywa z uczuciem....« —

— »Tak, Pani, rzekł Edward, gdy wykonywaną bywa z uczuciem ożywionem

przytomnością tego, co może całą naszę istność przelać w jeden tajemny głos uniesienia, w jeden boski akkord, — akkord serca!«

— »Pan zawsze zapominasz, odparła Zofia, że nasze prozaiczne dusze nie są w stanie pojąć wyrazów, noszących piętno uniesienia, poetycznego zapału.... Że lód zimny nie może się rozegrzać od ognistych promieni słońca.«

— »Ale za to topnieje od ich ciepła, odpowiedział poeta. Zofia milczała, Edward mówił dalej.«

— »Kobiety narzekają zwyczajnie na nieczułość męszczyzn; męszczyźni szydzą ze słabości kobiet: są to ostateczności zarównie niesprawiedliwe jak i śmieszne. Prawda, kobieta może się na to użalać, bo mając serce bijące jedynie dla uniesienia, powinna nie bez żalu patrzeć na serce przez się obranego, jeśli nie jest zdolne w równym stopniu wyrazić miotającego duszę uczucia. Lecz mówić że serce męszczyzny nie może zarównie czule odpowiedzieć na miłość miłością. jest to samo co twierdzić, iż kobieta nie jest w stanie być tyleż wytrwałą w miłości, ile męszczyzna.—

Męszczyzni lubią udawać, mówią kobiety,— a ileż to jest na świecie kobiet, które przez dziwaczną kokieteryją, lub jedynie z chęci zbadania skrytej przed niemi tajemnicy, starają się jeżeli nie być, to przynajmniej zdawać się nieczułemi tam, gdzie serce ich zaledwie się nie wyrwie z piersi wrzącej namiętnością, a oczy jednemi spojrzeniami wynurzają mimowolnie skrytą w głębi duszy tajemnicę?!... Tak, tajemnicę!.... »dodał Edward z przyciskiem, rzucając przenikliwe spojrzenie na Zofią, której lica zaczynały już płonąć rumieńcem, — bo w jego wyrazach odbił się głos miłości, gorzka mowa serca. Był to wyrzut który obudził w duszy Zofii jakiś żal tajemny.... i razem chęć odkrycia swych uczuć przed Edwardem. Pożądana chwila nastąpiła. —

»Zofio! rzekł Edward po krótkiém milczeniu; gorzkie są chwile szczęścia, jeżeli spólna myśl nie łączy w sercach naszych tego co jest najdroższem i najświętszém w życiu. Kochać i niewiedzieć czy i nas kochają, jest to samo co żyć i myśleć co chwila że musimy kiedyś umierać!«

Zofia spójrzała czule na Edwarda; młodzian w zapale schwycił jéj rękę, i rzekł przyciskając ją do piersi.

— »Gwiazda serca szczęściem świta.—

— »I gaśnie w nieszczęściu!« dodała cicho Zofia, i ręka jéj zadrzała w pałającej dłoni Edwarda.« —

— »Po co te czarne myśli, Zofio?.... Jedno, jedno tylko uczucie w sercu! Dosyć ci tak nielitościwie igrać tém, w czém ukryta radość, osłoda życia naszego.... Aniele mój, Zofio! powiedz czy ty mię kochasz?....«

Zamiast odpowiedzi Zofia skłoniła z westchnieniem głowę, i łzy, — słodkie łzy niebianki, — polały się na natchnione piersi poety.... On osypał jéj usta gorącemi, namiętnemi pocałunkami....

Od téj chwili Zofia pędziła dni swoje w spokojności, któréj nic na świecie zakłócić nie mogło. Nieraz siedział z nią Edward wśród altany ogrodowéj, i słodka jego rozmowa ożywiała w pamięci dziewicy dawne chwile, dawne uczucia, dawne marzenia; czytał przed nią główniejsze utwory ojczystéj poezyi, usiłował natchnąć jéj piersi nowemi uczuciami,

ozdobić jej dziewiczą wyobraźnię kwiatami swej bujnej, żywej fantazyi, przelać w jej serce to, co tak burzliwie wrzało we własnem jego sercu! Myśli, żądze Edwarda, stały się myślami, żądzami Zofii.

Sprawa względem dóbr Aleksandra miała być wkrótce ukończoną; nieprzewidziane potrzeby znagliły Aleksandra powrócić na wiosnę znowu do Wilna i przedsięwziąść pewniejsze środki dla osiągnienia pożądanego celu. Miotany niespokojnością zjawił się on w domu Pani B***. Lecz jaka zmiana zraziła go z pierwszego razu! Żałoba sierot ukończyła się; wesołość, zabawy, tańce znowu się rospoczęły; Zofia, ta smętna, spokojna, ujmująca Zofia, stała się wesołą, śmiałą, zachwycającą dziewicą, której wdzięki zapaliły by serce każdego młodziana. Nakoniec, o smutna myśli! Zofia kocha Edwarda.... Emilia zmieniła się także; ile przedtém była wietrzną, na nic nie baczącą, tyle teraz stała się zamyśloną, i prawie dziką. W sercu jej pałała miłość dla Aleksandra: dosyć było na tém, aby oburzyć jeszcze mocniej uczucia Aleksan-

dra, wzbudzić, mogącą w nim ostydz miłość ku Zofii, napełnić duszę jego zazdrością, i wreszcie odkryć mu straszną tajemnicę brata. Piekielny ogień zawrzał w piersiach biednego młodzieńca, przymuszonego gnębić swe lata w ciągłych trudach, znaglanego bezustannie potrzebą oddalania się z miasta i opuszczania wszystkiego co tylko mu miłem było w życiu. Obawa przegrania sprawy kosztowała go wiele niespokojności; troski pozbawiły go zdrowia, a teraz jeszcze los przewrótny wydarł mu ostatnią już pociechę, ostatnią nodzieję radości i szczęścia! Żądza zemsty za wydartą miłość opanowała jego duszę; — lecz nad kim się miał zemścić?.... Czyli nad Zofią, która go nigdy, być może, nie kochała, lub też nad Edwardem, który zyskał jej wzajemność, a był rodzonym jego bratem?....

W takim to okropnym stanie był i Aleksander, i czem więcej się starał uspokoić burzę, która tak gwałtownie wzmagała się w jego duszy, tem dziksze, straszniejsze myśli krążyły mu w głowie, — i biedny młodzian w rospaczy oczekiwał

minuty, w której niebo posłało by mu być może nadgrodę za tyle niepokojów, strat i cierpień! Lecz naprożno!.... los i świat sprzysięgły się na jego zgubę! —

IV.

Kilka dni już minęło od chwili powrotu Aleksandra do Wilna. Przerażony tylu zmianami zaszłemi podczas jego niebytności, postanowił on niebywać czas niejaki w domu Pani B***, gdzie tak mile zaświtała mu nadzieja i tak smutnie ugasla na zawsze. W ciągu kilkunastu dni nikt z całego domu Pani B*** nie mógł powziąść wiadomości o stanie jego zdrowia i zamiarach, do przedsiewzięcia których zmuszały go okoliczności; Edward zajęty był Zofią. Emilia tylko ciągle myślała o Aleksandrze, przeszłość jak czarna mara stała bezustannie przed jej oczami, a chęć dowiedzenia się o położeniu Aleksandra, połączona z wewnętrzną trwogą, zasępiała co chwila jej umysł, i mimowolnie ją pogrążała w dziką ponurość,

której nigdy jeszcze przedtém nie widziano. Lecz jeżeli z jednej strony serce Emilii doznawało niespokojności przy myśli o drogiej osobie, z drugiej wspomnienia o dniach minionych, namiętna miłość Aleksandra ku Zofii, nieczułość jego na wszystkie zabiegi, któremi Emilia usiłowała pozyskać jego wzajemność, i nakoniec zazdrość tak blisko granicząca z żądzą zemsty, napajały duszę dziewicy rospaczą — i, co gorsza, rospaczą ukrywaną! Niebespieczne są ciosy zadane sercu; nieuleczone rany własnej miłości! A któż więcej, kto mocniej czuć może swoję miłość zelżoną, nadzieje zawiedzione, ułudy zniszczone, jeżeli nie kobieta, której serce bije jednie dla uczucia, a uczucie to jest jedyném prawem na wszystko, czego jéj tylko wolno wymagać od świata?!...

Emilia czuć umiała; lecz uczucie jéj było zbyt śmiałe, nieznające granic rostropności, pogardzające zasadami rozsądku i prawami świata. Emilia umiała kochać, lecz miłość jéj nieznała żadnéj uległości, niezważała bynajmniej na przeznaczenia niezmiennego losu. Uczucie to

nie było tajemnem ubolewaniem nad niewdzięcznym i nieczułym kochankiem, nie było cierpieniem duszy skołatanej, lecz żyjącej jeszcze w nadziejach!... Świat nazwie, może, Emilię złą; — nie, Emilia była tylko słabą, i tyle słabą, ile być nią może kobieta wśród zawiedzionej miłości. Kochać i niedoznawać wzajemności, utracać miłość, nie wynurzając żalów serca, zapominać o przeszłych cierpieniach, nie widząc żadnych na przyszłość radości...... tego wszystkiego Emilia znieść nie mogła, i czem więcej myślała o swojem położeniu, tem więcej serce jej pałało, tem więcej myśli jej wrzały..... J biedna Emilia wylewała łzy gorzkie, pierwsze w miłości, lecz wyciśnięte ostatnią rospaczą. Nokoniec, jak to zwyczajnie bywa z kobietami, i łzy minęły. Zeznanie krzywdy uczynionej jej sercu zamieniło żale zawiedzionej miłości; nastąpiła epoka zemsty — krwawy epilog serdecznéj tragedyi! Emilia zaczęła od tego od czego zazwyczaj zaczyna zemstę słaba kobieta — od obmowy. Wprzeciągu dwóch, trzech tygodni wszystkie przyjaciółki jéj wiedziały o miłości Zofii i Edwarda:

młode dziewczęta zazdrościły Zofii, i całowały ją z całego serca; stare damy nie zazdrościły, ale za to w paroxyzmach hippokondryi plotły ogromne baśnie. Jednem słowem: płeć piękna więcej mówiła o tem niż myślała; przeciwnie płeć niepiękna więcej się zajmowała marzeniem, niż gawędą. Upłynął miesiąc, i trzecia część miasta zaczęła już mówić o ślubie Zofii, gdy tymczasem pani B***o niczem jeszcze nie wiedziała. Wszystko to było dziełem Emilii; lecz Emilia nie przestawała na tem; wiedziała ona dobrze, że to nie zupełnie zerwie jeszcze zasłonę z oczu Aleksandra, że nie wydrze mu ostatniej nadziei na wzajemność Zofii, i nie uczyni go czułym na obrażoną przez się miłość; trzeba było ostatecznego śródka; trzeba było znieważyć prawa towarzyskiej przystojności, — i Emilia postanowiła nakoniec jednym ciosem rozwiązać gordyjski węzeł serca swojego kochanka.

Nieszczęśliwy Aleksander pędził tymczasem chwile w zgryzotach; sprawa o dobra była ukończona na stronę jego przeciwników. Zdrowie młodziana widocznie osłabło; a bezustanne niepokoje

i cierpienia zaczęły już tłumić w sercu jego iskrę życia. Postanowił on opuścić Wilno, brata, Zofię, i wszystko, co go tak wiele szczęścia i radości kosztowało. Drżącą ręką skreślił pierwszy i ostatni list w życiu do Zofii... O! jak czule żegnał się z nieczułą na cierpienia jego istotą!... Jak boleśnie wynurzał przed nią uczucia, i błagał ją razem o wierność dla brata!.. Jak smutnie wyrzekał się tego, co mu było najdroższém w życiu!.. List ten wycisnął by łez strumienie z oczu tkliwej Zofii, lecz na nieszczęście nie mógł dójść do niej. — Przezorna Emilia potrafiła go przeczytać pierwej niż oddawca mógł go wręczyć Zofii. Całe piekło zawrzało w jej sercu!.. Namiętność jak trucizna jadowitego węża rozlała się znowu w jej piersiach... w tę chwilę Emilia była prawdziwie straszną! Walka zazdrości z żalem przytłumiła w niej wszystkie inne uczucia; tysiące nowych myśli dręczyły ją bezustannie.... Nieszczęśliwa sama nie wiedziała co miała czynić, sama nie pojmowała co chciała przedsięwziąść, — gdyż znajdowała się już na ostatecznym kresie utraty wszy-

stkiego tego co było dla niej najdroższém, i razem najboleśniejszém, co tak silnie opanowało jej umysł, i tak zdradliwie podchlebiało własnéj jéj miłości. Emilia odważyła się na postępek nie mniej nierozsądny jak i niebezpieczny, na postępek, mówię, który, może, jedni tylko męszczyzni w stanie są jéj wybaczyć, — i skréśliła list odpowiedny od Zofii do Aleksandra, sądząc że udaną przez się czułością Zofii na jego cierpienia, zdoła go na czas niejaki zatrzymać w Wilnie, i uludzonego próżną nadzieją pojmać nakoniec w swoje zdradliwe i zgubne sidła. —

List ten kończył się w następny sposób:

»Serce moje nie jest w stanie znieść »widoku tylu cierpień tak dobréj i za»cnéj osoby... Aleksandrze! jeżeli wy»sluchalam nie bez radości wynurze»nie uczuć Edwarda, miałaż bym przez »to samo stać się głuchą na żale stra»pionéj twéj duszy? Nigdy — bo nie»zapominam że jestem kobietą. Prze»znaczenia życia naszego są niezbadane; »lecz szczęśliwy ten, kto może wierzyć »w życie, i niczego nieoczekując od

»ziemi, spodziewać sie wiele od nieba!
»Zapomnijmy jeżeli można o przeszłości;
»nic wiecej nie mówię, chociażbym mo-
»gła i powinna była to uczynić.«

Ręka Emili nie zadrzala nawet podpisując imię:

*Zofia.*

List ten rozniecił w duszy Aleksandra gasnący promień nadziei; lecz ile pocieszające było to zbudzenie uśpionej radości, tyle okropną była utrata gorzkich i ostatnich już w życiu uludzeń serca!

«Któż może mię zapewnić, — myślał Aleksander, wionąc w pajęczych uplotach marzenia, — kto może mię pozbawić ostatniej nadziei na przyszłość, że Zofia będzie mi kiedyś wzajemną, że znowu mi zaświta, choć może nad samym już grobem, gwiazda radości, która tak wcześnie, tak smutnie ugasła jeszcze nad moją kolebką... Wyrazy tego listu pełne współczucia nie są zdradliwem złudzeniem kokietki... Zofia nią być nie może! Dla czegoż wiec nie mam wierzyć w przyszłość, dla czego nie mam cierpieć?... Wszakżem się urodził jedynie dla cierpienia!...« —

Tak dumając, Aleksander co chwila starał się zagłuszyć w duszy swojej burze i osłodzić bóle serca, — lecz późno!., Wieczorem w ten dzień właśnie kiedy zdradliwa Emilia tak nie miłosiernie oszukała strapionego i zaledwie znieść mogącego swoje nieszczeście Aleksandra, — Edward upadł do nóg Pani B***i błagał ją o zezwolenie na związek z Zofią: dobra staruszka ze łzami pobłogosławiła córkę i przyjaciela, — a uszcześliwiony poeta z zapałem przycisnął do piersi tę, która jedynie dla jego szczęścia zdawała się być mu daną.

Wkrótce po tej tkliwej scenie Pani B*** podług zwyczaju słuchała czytającej Olesi. Wtém drzwi się otworzyły, i Aleksander pokryty śmiertelną bladością wszedł nagle do pokoju. —

— »Bardzo pięknie zapominać o swoich przyjaciołach, rzekła Pani B**» podając rękę którą, Aleksander drząc prawie, pocałował, — zapominać wtenczas właśnie, kiedy powszechna radość nasza nie powinna mu być niewiadoma i razem niepodzielana. Życzenia moje spełniły się; —Zosia moja należy już do Edwarda« —

Gdyby piorun runął w tę chwilę nad głową Aleksandra, mniej by go mógł ogłuszyć, jak te wyrazy Pani B*** wymówione radośnym głosem!..... Pot zimny wystąpił w mgnieniu oka na czoło młodziana; lecz aby ukryć burzę, która wrzała w piersiach, i odbijala się w każdém spojrzeniu, w każdym rysie twarzy, Aleksander usiadł na kanapie i, dobywszy chustkę otarł oblane potem czoło.

Pani B*** opowiedziała mu wkrótkości prośbę Edwarda i Zofii, i zezwolenie własne na ich połączenie. Łzy radości prysnęły z jéj oczu; Aleksander nie mógł znieść tego widoku: strasznie bilo jego serce!

— »Szczęśliwy Edward!« — rzekł przytłumionym głosem, i wstawszy z krzesła oddalil się do drugiego pokoju, gdzie Zofia siedząc przy fortepianie naprzeciw zamyślonéj Emilii, grała z uczuciem jedną z najpiekniejszych sztuk Hajdena. Edward staj za nią oparty o krzesło. —

Powitawszy lekkim ukłonem Zofię i Emilię, Aleksander spojrzal przenikliwie na brata, i usiadłszy nie daleko fortepia-

nu prosił Zofii aby nie zaniechała grania i w jego przytomności.

To smutne i ciche, to wyniosłe i radośne lały się tony z pod rąk natchnionej Zofii; zdawało się iż natenczas przemawiała jej dusza, że wszystkie jéj uczucia zbiegły się w tych czarownych tonach, w tych niewidomych, iż tak rzekę, hieroglifach, z których jeden tylko Aleksander mógł w całej okropności wyczytać mowę serca wydartej mu ofiary. Ten tylko, kto zaledwie zaczynając żyć na świecie, przeszedł wszystkie stopnie smutków, zgryzot, niepokojów, utracił najdroższe nadzieje i najmilsze pamiątki; — ten, w którego piersiach drzy strona wydająca bolesne tony na odgłos ponurej melodyi, i serce bije jeszcze, kiedy czas już mu ustać dla świata, — ten tylko, mowię, wystawi sobie cierpienie Aleksandra!. . . . Był to ostatni stopień baleści: rozjątrzone uczucie zdołało w reszcie oprzeć się władzy rozsądku. Aleksander zerwał się, rzucił gorzkie spojrzenie na Zofię, czule uścisnął rękę Edwarda, uprzejmie skłonił się Emilii, i westchnąwszy, pospiesznie wyszedł z pokoju.

Nazajutrz rano o wschedzie słońca,

sąsiedzi domu, w którym mieszkał Aleksander, usłyszeli wystrzał pomiędzy drzewami ogrodu: nieszczęśliwy Aleksander leżał bez czucia zbroczony krwią własną; pierś jego drzała konwulsyjnie; twarz wyrażała straszną walkę duszy z uczuciami; westchnął..... lecz westchnienie to nie było jeszcze ostatnie. —

## V.

»O Boże mój, Boże!...« mówił konającym głosem złożony na śmiertelném łożu Aleksander, i oczy nieszczęśliwego błysły ostatnim promykiem życia.

»Aleksandrze, Aleksandrze! zawołał oblany łzami Edward; ja to, ja wydarłem ci szczęście, radość i pokój — lecz niebo ciężko ukarze występnego brata!« —

Lica chorego pokryły się na chwilę żywym rumieńcem. —

— »Brata, brata ...« – szepnął Aleksander dziko spojrzawszy wokoło; łzy znowu strumieniem polały się z oczu Edwarda.

» Nie płacz, Edwardzie! Łzy te nie zmyją krwi mojej... Zachowaj je dla niej.. ..

być może i ona zapłacze po mnie, i ty połączysz łzy swoje z jej łzami na mojej mogile....«

— »Po co te myśli, Aleksandrze?.. Nie, ty będziesz żył jeszcze, będziesz żył dla mnie i dla Zofii!«

— »Dla Zofii?..... Lecz ta krew, gorąca krew.... w niej wrzało życie, teraz śmierć płynie i zatruwa serce.... Ach! daj mi rękę, Edwardzie!....« — szeptał nieszczęśliwy, rzucając na brata straszne spojrzenie; potem wziął jego rękę, przyłożył do piersi i rzekł cichym lecz przerażającym głosem: O serce moje, serce!...« —

Edward jak skamieniały stał przy śmiertelnej pościeli brata, i tylko po licu jego można było poznać ile cierpiał wtej chwili. Aleksander dał mu znak ręką aby wyjął z pod poduszki papier w kilka części złożony; po czem wziął go, przycisnął do ust i z błagającym wzrokiem oddał go bratu.

— »Drogi Edwardzie! jak ja umrę, oddaj ten list twojej Zofii... przyrzeknij....«

— »Przysięgam« — rzekł Edward i

więcej ni słowa nie mógł wymówić od boleści, która ścisnęła mu serce. —

Nastąpiło milczenie; drzwi się otworzyły i doktor wszedł do pokoju. Zobaczywszy puls zasypiającego Aleksandra, dał znak Edwardowi, by wyszedł z nim razem, dla dania spoczynku tak potrzebnego choremu,

— »Rana nie jest niebespieczna, rzekł mu potem; lecz za życie trudno jest zaręczyc. Dusza nieszczęśliwego zbyt jest skołatana uczuciami, i przeczucie śmierci zbyt mocne, aby pomoc lekarska mogła go wrócić do zdrowia.«

— »Więc nie ma żadnej nadziei?.. «

— »Dotychczas najmniejszej; ale być może, po upłynieniu kilku godzin, nastąpi przesilenie, i to jedne tylko uspokojenie umysłu i serca wyrwało by go, jak mi się zdaje, z łona śmierci. Bóg litościwy!« —

Edward zo złożonemi na piersiach rękami zaczął się przechadzać po pokoju.

— »Smutny losie! rzekł rospaczającym głosem; mógłżem kiedy przewidzieć, że to co mi jest najdroższem na świecie, będzie narzędziem zguby mojego kochanego

brata!... Za co niebo przeznaczyło nam tyle cierpienia — jemu śród niedoli, a mnie pośród radości?... Czemu serce moje nie pękło przy myśli że wydarłem mu szczęście nawieki.... O myśli okropna! Ja zgubiłem brata. Lecz niebo być może zlituje się nademnę, być może śmierć jeszcze mi go nie wydrze.... być może jeden radośny wyraz o tem co zatruło mu dusze, oświeci go promieniem nadziei, promieniem życia.. Ach! czegóż bym za to nie oddał!..... radości, nadzieje, — gorzkie, ciężkie łzy żalu! Niemi zmyłbym krew brata za mnie i za nią przelaną!...« —

Nowa myśl błysnęła w głowie przejętego rospaczą młodzieńca — myśl, którą niebo może natchnąć tylko duszę szlachetną, pełną wysokiego uczucia, gotową na najcięższe ofiary...

Nie upłynęło godziny, jak Edward zadyszany wbiegł do pokoju Zofii, lecz nie znalazłszy w nim nikogo, i spostrzegłszy ją siedzącą w ogrodowej altanie, poszedł ku niej pospiesznym krokiem.

Zofia zadrzała na widok zmienionej twarzy Edwarda.

— »Dla Boga! co ci jest, drogi mój Edwardzie?« —

— »Uspokój się, dobra, kochana Zofio; wielem już w życiu swajem wycierpiał, lecz niebo wymaga większej ofiary « —

— »Co znaczą te tajemnicze wyrazy?.. Zaklinam cię, Edwardzie, opowiedz mi dokładaiej!« —

Edward rzucił czułe wejrzenie na Zofię, wziął jej rękę, i uściskawszy z zapałem, rzekł:

— »Niezbadane są wyroki nieba, straszne losy serca!. . Zofio! Miłość moja ku tobie sama za siebie jest nadgrodą; lecz za miłość ku bratu niebo tylko może nadgrodzić, bo niebo każe kochać tego w kim jedna krew płynie. A ja zgubiłem brata...... Pojmujesz mię, Zofio?...«—

Zofia zbladła. —

— »Smutna była tajemnica jego serca, mówił dalej Edward; Zofio, Aleksander ciebie kochał, być może, więcej odemnie, a teraz umiera dla ciebie,. . On stał się samobójcą!« —

— »O Boże, krzyknęła Zofia, i prawie pozbawiona zmysłów upadła na ręce Edwarda.« —

— »Krew ta wymaga ciężkiej dla nas ofiary, bo tylko ta ofiara może mu ocalić życie, i zagładzić wyrzuty sumienia. Zofio, duszo mojej duszy! Przysięgnij że wypełnisz moje żądanie, moją prośbę, ostatnią prośbę w życiu, bo wszytko już umarło na tym świecie dla mnie,.. Kochaj mię do grobu, lecz teraz zapomnij nieszczęśliwego Edwarda! Oddaj twe serce Aleksandrowi, zachowaj mu życie, — a niebo pobłogosławi twe lata, i szczęściem okupi smutną ofiarę serca!«

— »Edwardzie, pomyśl czego wymagasz odemnie!« —

— »Myślałem już, Zofio, i myśl ta zabija mię!« —

— »Lecz któż zaręczy że przez to ocalisz mu życie?« —

— Jeden tylko wyraz o twojej ofierze, o twojem zezwoleniu mógłby uspokoić jego duszę, i ze spokojnością wrócić mu razem i zdrowie.«

— »Niestety! serce moje nie jest w stanie znieść tego! Zaklinam cię raz jeszcze, pomyśl o sobie, Edwardzie!«

— »O sobie? ... Ach! wszystko już dla mnie zginęło... W ciężkiej odzieży,

w ciężkim poście i trudach, spędzę pozostałe lata, błogosławiąc niebo za ciebie i za niego.... A ty, najdroższa Zofio, zapomnij o mnie, zapomnij o miłości, dla której stałem się bratobójcą!«

— »O! nie wymawiaj, nie wymawiaj tych strasznych wyrazów... one rozerwą mi serce!...« —

— »Nie chcesz więc, Zofio, pragniesz jego śmierci, i wiecznej zgryzoty mojego sumienia?.. I jakież ma być szczęście w naszem pożyciu? Nic nie ukoi ran moich, nic łez nie osuszy.... Lecz Aleksander! On cię tak gorąco kocha!.... Słuchaj, Zofio! On jest moim bratem; jeżeli nie dla niego, jeżeli nie dla siebie samej, to przynajmniej dla mnie, dla nieszczęśliwego twojego Edwarda, zlituj się nad nim, wyrwij go z łona śmierci!« —

— »Ciebie porzucić, zapomnieć o wszystkiém — nie, nie, nigdy!..« —

— »Okrutna! powtarzam ci raz jeszcze, on ginie!«

Zofia zalana łzami, leżała na piersiach Edwarda, nie mogąc wymówić ani słowa; on płakał jak dziecię, które widzi mar-

twą matkę. i osypywał jej ręce gorącemi. ostatniémi pocałunkami...... .

Nakouiec rozsądek otrzymał górę nad uczuciem, i głos sumienia zagłuszył w sercu Zofi głos miłości. —

— »Dobra, nadziemska duszo! zawołała; pragniesz ofiary — masz ją i pamiętaj że od téj chwili serce Zofii nie należy do ciebie!«

— »Zofio! Bóg wie tylko, ile mię to kosztuje; lecz cóż mam robić?.. Niebo tego pragnie, niebo cię uszczęśliwi! Ostatnie twe słowo?...« —

— » Przysięgam, że będę wierną dla Aleksandra!«

— »Przysięgam ci, Zofio, iż wiecznémi modłami gorąco będę błagał Boga o wasze szczęście.«

— »Stało się, Edwardzie!«

— »Bądź zdrowa, Zofio!«

Zofia upadła bez zmysłów; Edward jak szalony, niepomny na nią, pobiegł czém prędzéj radośném uwiadomieniem uratować brata. Przebiega aleje wiodące do fórtki .. w tém przypomina o liście oddanym mu przez Aleksandra; dobywa go z pugilaresu, i zastanowiwszy się między

gęstemi i rozłożystemi drzewami, otwiera kopertę.... O nieba! To list Zofii do Aleksandra.... przebiega go oczyma — czyta — widzi podpis »Zofia«. — »Cóż by to miało znaczyć? mówił z zadziwieniem; Zofia pisała do Aleksandra, Zofia, która go nigdy nie kochała! Nie, nie, to być nie może, to nie jest jej charakter, nie są jéj wyrazy.... Miałże by to być podstęp Emilii — okrutnej, szalonej Emilii? Tak jest, to jéj ręka!..«

Edward przebiega w myśli całą przeszłość, przypomina o namiętności Emilii, która nigdy jednak nie zdołała skryć przed nim tego, poznaje całą okropność jéj postępku, i razem truchleje na samę myśl o utracie Zofii.

Wtém słyszy szelest pomiędzy krzakami... cóś białego mignęło w gęstwinie.. Edward zrywa się i wtéj że chwili staje przed Emilią.

— »Pani, rzecze straszliwym głosem; miłość twoja zgubiła wszystko, co ci być mogło najmilszém w życiu!«

— »Dla Boga, co to ma znaczyć, ja nic nie pojmuję!« —

— »Dałby to Bóg, żeby tych wyrazów

nikt na świecie nie mógł pojąć, oprócz ciebie, okrutna kobieto! straciłem moję Zofię, wyrzekłem się świata— i zginę, zginę! Tyś tego przyczyną — patrz, Emilio .....«

Edward wyjął znowu z kieszeni list, który zdradliwa Emilia pisała do Aleksandra pod imieniem Zofii.

— »Czyj to charakter, Emilio?.. Milczysz, poznajesz.... Okrutna kobieto! przekleństwo moje niech padnie na ciebie!

Emilia zemdlona upadła na ziemię.

— »Weź narzędzie twej nikczemności! zawołał straszliwie Edward, i cisnąwszy list na piersi leżącej bez zmysłów Emilii, wybiegł czemprędzej z ogrodu.

Po drodze spotyka służącego Aleksandra, który oddaje mu list zapieczętowany czarnym lakiem. Edward rozrywa kopertę, czyta..... Aleksander już nie żył...

Na samym wierzchu listu napisane były ręką doktora następne wyrazy:

»Brat pański pożegnał się ze świa-
»tem. Podług jego żadania wręczam
»Panu zaraz po jego śmierci te kilka wy-
«razów, które umierając skreślił słabą
»ręką.«

Oto są słowa, któremi Aleksander żegnał brata:

»Edwardzie! ja umieram — umieram
»dla niej i dla ciebie! Kochaj Zofię,
»pocieszaj Emilię, bo ona mię kochała,
»niewdzięcznego.... Niebo wymagało
»moich cierpień, a śmierć je skróciła.
»Żegnam cię, Edwardzie! Kiedy będziesz
»czytał te wyrazy, Aleksandra twojego nie
»będzie już na swiecie.......«

List wypadł z rąk Edwarda, i łzy gorącym strumieniem polały się na piersi.

Wszystko zginęło... Aleksander umarł... Zofia, biedna Zofia nie może być nigdy wrócona Edwardowi; przysięga dana przez niego Bogu rozdzieliła go na wieki z Zofią i z całym światem!

Wyrazy Edwarda spełniły się: niezbadane są wyroki nieba, straszne losy serca!

* * *

W kilka miesięcy po tém zdarzeniu ponuro huczały dzwony wszystkich kościo-

łow Wilna; lecz najsmutniéj, najdonośniej rozlegał się żałobny głos z wieży S-go. Kazimierza.

Na smętarzu X. X. Burnardynów odprawiał się pogrzeb: była to ostatnia usługa, którą świat ze łzami oddawał nieszczęśliwej Zofii.

W żałobnej trumnie leżała zmarła, odziana w śmiertelną suknię; uschły kwiatek posępnie wyglądał pośród róż świeżych i mirtu na piersiach dziewicy: był to jeden z pierwiosnków, które Edward dał niegdyś Olesi. Zofia umierając błagała ciotkę, aby nie wydzierano jej i po śmierci tej drogiej pamiątki, i ozdobiono nią śmiertelny całun.

Gdy trumna została wpuszczoną do grobu, wszyscy przytomni gorzko zapłakali Z całego grona krewnych i przyjaciół, ubolewających nad mogiłą po śmutnej utracie, dwaj tylko bracia nie wylewali łez gorzkich: Aleksander leżał już dawno w grobie, a Edward ukryty od ludzi opłakiwał zgou brata i kochanki.....

Trzy lata minęły od dnia tego; róże i

fiołki kwitną co wiosna na grobie Zofii. Tam codzień przychodzą z wieczorem dwie kobiety: — starsza z nich ma dwadzieścia cztery lata; jéj wybladłe lica, wpadłe oczy i wyschłe usta dają każdemu poznać Emilią. Pietnastoletnia jéj towarzyszka ładna jak anioł; ujmujące rysy jéj twarzy, błękitne oczy i światłe pukle włosów żywo przypominają Zofię! Jest to Olesia.

A Edward?

Tam, dokąd nigdy nie dolatuje gwar świata, śród malowniczych dąbrów i pagórków, stoi piękny domek na brzegach posępnéj Wilii: w tym domku Edward spędza pozostałe chwile ciężkiego życia. Łzy i cierpienia wydarły wzrok nieszczęśliwemu młodzianowi. Pozbawiony dziennego światła, otoczony wieczną nocą, w czarnych dumaniach o przeszłości, ma on tylko jedyną uciechę w muzyce; nieraz przegrywając w samotności, ślepy poeta wspomina minione chwile młodości. Zdaje się iż w tajemnych tonach pieśni wyczytuje on całą pewieść swojego serca. — Słysząc te tłumiące się dziwnie głosy, te bolejące dzwięki, rzekł byś z westchnieniem: Są to ostatnie żale starganéj

boleścią duszy, są to umierające jęki pękłej arfy Eola!.....

*L. P.* —

1839 r. 8. Września.



# *Z Tegnera Sagi-Frytjof.*(1)

## Ustęp IIIci.

### Frytjof bierze spadek po Ojcu.

I chodzili na wzgórza Bele i Torsten zgrzybiały, (2)
Bo tak sobie przyrzekli. Z dwóch stron zatoki
sie tocza
Wzgórza gdyby dwie piersi które cios śmierci
rozdzielił.
Wedle ludu uchwały Helge i Halfdan dziedzice, (3)
Podzielili się państwem — Frytjof sam nie znał
podziałów,
On jedynak; — spokojnie dworce wspaniałe posiada.
Po trzech stronach nieścigłe ściela się okiem ob-
szary,
Góry, wzgórki, doliny, a z czwartej morza
grzmia fale.
Las sosnowy uwieńczał czoła pagórków, na których

Złote proso dojrzewa, wyżej znów żyto pływało,
Mnogich jezior zwierciadła, pieszcza gór, lasów obrazy,
Żywe wysokorogich kształty łosiów, co z lasów
Krokiem stapaja królewskim, w setnych krynicach sie chłodza.
W dali, w dolinach, na łakach trzody tncza sie gładkie,
Pełne dźwigajac wymiona, cisna sie tłumnie do wiadra
Tu i owdzie rozpierzchłe stada sie owiec migaja,
Wełna podobna obłokom kędzierzawym co z wiosny
Tchnieniem igraja pod niebem. Tetnia w zagrodzie rumaki,
W liczbie dwa razy dwanaście (4), rzedem rżały po łace,
Depcac trójliść koniczu; grzyw czarnawe na wiatry
Wyrzuciły warkocze — i stała kute kopyta.

Sala była z ciosanej zbudowana sośniny,
Pieciuset mogła pomieścić — sto każde wonczas mieściło
Dziesięć razy dwanaście. — I więcej tamże widziano
W czasie uczty Julowej (5). Wzdłuż sie sali ciagnęły
Stoły dębowe, jak stal błyszczace, kunsztownie robione.
W końcu siedzenie — po stronach z wiazu dwa bogów posagi

Oden (6) z dzielnem spojrzeniem i Freja (7)
z słońcem nad skronią.
Tu niedawno siadywał na czarnej skórze niedźwiedziej
Torsten pośród przyjaciół, — śród gościnności wesele, —
Paszcz szkarłatna przy skórze, srebrem okute pazury
Opowiadał był starzec, gdy księżyc toczył po niebie,
Cuda o krajach dalekich, licznych Wikinga wyprawach,
Na zachodu i wschodu, i Gandwiku topiele. (8)
Milcząc wszyscy słuchali, na jagodach spojrzenia
Zwisły jak pszczoły na kwiecie O! wtedy Skald dumał o Bradze (9)
Z brodą srebrną, językiem gęsto runami obrosłym,
W cieniu buków nad zdrojem Mimera (10) dźwięcznie brzęczącym,
Opowiadał on sagi — a sam był sagą żyjącą.

Podsycany zgliszczami ogień na środku posadzki
Blask po ścianach rozlewał; przez otwór dla dymu kradzione
W salę spojrzenia rzucały gwiazdy—bóstw powiernice.
W koło rzędem na ścianach wisiały na szponach stalowych
Tu i owdzie pospołu hełmy, pancerze, kolczugi,
Niżej połyskał miecz mroźnemu podobny komecie.
Jaśniej niż miecze i hełmy, tarcze świeciły się w sali,

Czyste jak kule słoneczne, srebrne jak pełnia
miesiaca.
Czasem wchodziła dziewica i napełniała puhary,
Oczy spuszczała rumieniac sie — obraz jej wtedy
na tarczach
Także rumienił sie — bitni gwarzyli meże za
stołem.

Dwór był bardzo bogaty — okiem gdzie tylko
rzuciłeś
Szafy, lochy, skarbnice pełne łupów wojennych,
Złoto pisane runami, toczone z srebra naczynia
I klejnoty; najwiecej przecie z pomiedzy tych bo-
gactw
Był ceniony miecz, po dziadach droga puścizna,
Augurwadel miał imie, a błyskawic był bratem.
Niegdyś kuty na wschodzie dalekim — saga po-
wiada,
Hartowany u karłów (11), Bjorn go później
otrzymał,
Ale walczac z Wifellem w Greningazund (12)
utracił
Miecz i życie—Wifella Wiking był synem—mieszkał
W Ulleroker (13) podówczas, król już wiekiem
złamany.
Miał on córke kwitnaca, i tu się z głebi lesistej
Olbrzym ukazał—obrosła brzydota — i żadał u króla
Pojedynku lub córki i państwa; i nikt się nie ważył
Stanać do boju — nigdzie stali tak twardej nie
było

Przeciw czaszce stalowej — olbrzym miał czaszkę stalową —
Wiking się tylko odważył piętnastoletni wyrostek
Ufny w siłę ramienia i Augnrwadla — Rozpłatał
Na pół potwora; jeden cios zbawił piękną od zguby.
Wiking przekazał miecz na syna Torstena a Torsten
Znowu synowi w dziedzictwie. Kiedy Frytjof dobywał
Z pochwy ten miecz — sadziłbyś błyskawica po sali
Lub gra zorza północna — złotem miał kutą rękojeść
Runy po stali pisane. U bram on słońca przed czasy
Znał się z Azami (14) — ale dla północy był cudem.
Pokój gdy w państwie panował słabo runy błyszczały,
Lecz gdy zacznie grę Hildur (15), krwawo żarzą się, jako
Grzebień koguta śród walki. Zginął kogo dosięgło
Ostrze w nocnej utarczce — pałające runami!
Sławny był miecz, najpierwszy między mieczami północy.

Pierwszej po mieczu wartości, w krajach dalekich sławiony
Naramiennik łuż leżał, dzieło, lak saga powiada.
Kulawego Waulunda 16) — trzy marki ważył — i z złota
Ślicznie czystego zrobiony — Na nim niebo wyryte
Dla dwunastu miesięcy niebios dwanaście pałaców,
Które słońca domami zwane były od Skaldów.
Pałac Frei był Alfheim — tu nowo słońce zrodzone

W czas narodzenia Bożego — dąży na przestwór
niebieski.
Dalej pałac Soqweback (17), w nim Saga z Odenem czuwają;
Oden wino z złocistej pił czary; a czara jest morze
Malowane złociste blaskiem poranku — a Saga
Wiosna zamiast run kwiatem na błoniach zielonych pisząca,
Słońce w lecie najwyższe pała jak Balder (18) na
tronie,
Leje z niebios bogactwo jak obraz wszelkiego
dobrego,
Światło bowiem jest dobre, ale złem są ciemności.
Ciągłem wznoszeniem się słońce podobnie jak dobre strudzone,
Z szczytu zwraca stromego i zapada do kraju
Heli przeklętej. I zda się Balder spłonął na stosie,
Dalej pałac spokojny sprawiedliwego Forsety, (19)
W ręku szalki podnosi jak sądząca bogini
W radzie jesiennej (20). Takie i tym podobne
obrazy
Walk światłości w umyśle i na niebie, wyryła
Mistrza ręka w około obwodu — zamek z rubinów
Naramiennik zamykał — jak słońce niebios sklepienie.

Od Waulunda samego skarb ten przez wiele pokoleń
Jako puścizna przechodził choć tylko linią mateczną,

Tylko raz jeden go porwał korsarz jakowyś zdaleka
Który północ napadał i zniknał potém na długo
Wreszcie rozniosła pogłoska że na brzegach Brytanii
Z skarbem tym i okretem zamknał się w głebiach
podziemnych
Ze nudami meczony czasem wychodzi na światło
Słucha Torsteu tych wieści — z Belem siadaja na
Smoka
Kraja pieniace sie morza i bystro ciagna do miejsca.
W dali wreszcie ujrzeli uakształt przedsionka
światyni
Zasklepiona jaskinie, piaski ja kryły i chwasty.
Światło błyszczało od bramy, — bliżej wpatruja
sie meże,
Stał z masztami, rejami, okret porwany Wikinga,
Straszny potwór w kajucie w płaszczu siedział
ognistym,
Krwiste plamy na mieczu czyścił — lecz plamy
zostaja,
Złoto wkoło kradzione błyszczało w stosach ogromnych.
Naramiennik na ramie włożył; — »do walki,
rzekł Bele —
»Zduśmy źwierza — »obadważ mamy uderzyć,»
rzekł Torsten,
»Jeden z jednym — to ojców obyczaj — sam
z nim ja walcze« —
Długi spór sie zawiazał kto ma rozpoczać z potworem
Kto ma walki spróbować. Bele nakoniec stalowy

Podjął szyszak ze skroni — trząsac nim losy pomieszał,
Przy gwiazd jasnych promyku Torsten los swój rozpoznał
Z pierwszém włóczni podparciem, pękły wrzeciadze i zamki
I wszedł — a ktoś się zapytał — »w nocnej co widzisz ciemności?«
Zadrżał i milczał — a Bele piosnkę usłyszał podobną
Pieśni olbrzymów, i szczęk grzmiący, okropny jak gdyby
Krzyżowały się miecze, i krzyk straszliwy — i ścichło,
Wyrwał się Torsten blady, zmieszany, z walki śmiertelnej,
Naramiennik unosił; »jakżem go drogo okupił
»Pierwszy raz w życiu — wyjąknał — pierwszy raz drżałem tak strasznie.
Sławny był wszędzie ten skarb, ozdoba piękna w północy.

W końcu okręt Ellida trzecim był domu klejnotem
Razu pewnego gdy Wiking z wypraw powrócił dalekich
Płynał morza wybrzeżem i szczątki widzi okrętu,
Ktoś się na desce pochylał, z morskiemi igrał bałwany,
Postać wysoka, szlachetna, wolne oblicze, otwarte,

Zmienne razem jak morze przed okiem słońca jasnego,
Płaszcz miał błękitny, złota przepaskę w korale zdobioną,
Brodę białą jak piana — jak woda morska miał włosy,
Wiking skierował ślimaka, wydarł falom biednego,
Zdrętwiałego na poły wziął gościa do domu, ogrzewał.
Ten gdy wypoczął w pościeli, rzekł z uśmiechem na ustach:
Dobry jest wiatr i okręt mój niczego zapewne,
Sto mil jeszcze wieczorem dzisiejszym mogę upłynąć
A przyjm dzięki, chęć dobrą, za gościnne przyjęcie.
Choć pamiątkę ci małą chciałbym poświęcić; lecz mienie
Moje w morzu; lecz rankiem znajdziesz dar mój u brzegu.
Rankiem stał Wiking nad morzem jak orzeł morski spozierał,
Kiedy czeka zdobyczy; w tém smok przebywa zatokę
Na nim nikogo niewidać, nikogo niewidać u steru;
Sam się kieruje śród skał, mielizny zręcznie wymija,
Jakby płynął duch na nim. I gdy przybił do brzegu
Nikt się ręką nie dotknął, żagle się same zwinęły,
Spadła w głębia kotwica, piaski kąsając zębami.
Wiking patrzał zdumiony, wtém fale taką pieśń grały:

»Egir (22) pomny na wdzięczność szle ci Smoka
w darunku.« —
Był to darunek królewski, boki miał z krzywej
dębiny
Niespajane lecz zrosłe, a tak był wewnątrz obszerny
Iżby zwykły tam schował się okręt, z przodu
wynosił
Paszcz czerwoną i zdał się płomieniami oddychać.
Pierś błękitna skrapiana złotem a wtyle u rudla
Skręcał w kręgi potężny ogon śrebrnołuskowy
Żagiel miał czarny z brzegiem czerwonym, gdy
go rozwinął
Z hukiem jechał grzmotowym — ustępowały mu
orły.
Smok był wewnątrz napełnion zbrojnémi zapasy i
zdał się
Być pałacem królewskim, pływająca forteca.
Sławny był okręt daleko, pierwszy z okrętów
północy.

Takie skarby i inne Frytjof po ojcu dziedziczył,
Na północy był ledwie dziedzic bogatszy od niego.
Frytjof nie był królewicz, ale miał umysł królewski,
Przyjacielski, łagodny, zyskiwał sobie szacunek,
Otoczony dwunastu siwego włosu wodzami,
Każdy z bliznami na skroni z piersią stalową i
wszyscy
Towarzysze bojowi ojca, przy nich tuż siedział

Równy wiekiem z Frytjofem, Bjorn młodzieniec
jak róża
Obok liści więdnących — a roskoszny jak dziecię,
Silny jak mąż a mądry jak starzec, z Frytjofem
się chował,
Krople krwi swej mieszali, według północnych
zwyczajów,
Wieczne przysięgli braterstwo, za śmierć zemstę
wzajemną,
Pośród gości walecznych na ucztę żałobną (23)
przybyłych
Siedział smutny gospodarz z łez pełnémi oczyma
Pił za pamięć ojcowską według obrzędów domowych,
Przysłuchiwał się Drapom (24) które Skaldowie
tam pieli,
Jakby pieśniom pochwały — Zajął już miejsce po
ojcu
Między Odenem i Freją i siedział jak Tor (25) na
Walhalla. (26)

Przypiski.

Pomiędzy zabytkami skandynawskiej literatury z XIII. wieku pozostała saga o Frytjofie (Frytjofs-Saga) najwięcej nam maluje owczesny rycerski charakter

północnych ludów. Frytjof zwany *mocny* rycerz skandynawski, syn Torstena wnuk Wikinga głośnego na północy wojownika żył według téj sagi nieco przed rozszerzeniem w tych krajach chrześciaństwa, co w IX. wieku nastąpiło. Prostego pochodzenia, nie lęka się ni ludzi ni bogów, rozpłatał łeb mieczem rywalowi swojemu królowi, spalił świątynię Baldera. Na okręcie Ellida puszcza się jako *konung* (korsarz) na morze, nucąc piosnki walczy z bałwanami i nadprzyrodzonémi siły w czasie burzy go napastującemi. Wśród tych wysileń gdzie nadludzkiej siły daje dowody, tkliwa i niezmienna miłość podbija serce nieugłaskanego króla oceanów. Dzikie to razem i czułe opowiadanie czynów Frytjofa posłużyło najpierwszemu dziś Szwedzkiemu poecie *Tegnerowi* za przedmiot do narodowego poematu Frytjofs-Saga, który z zapałem w Szwecyi był przyjęty, a trzy tłumaczenia niemieckie i jedno angielskie równie dowodzą jego zalet. Tegner jest biskupem w Vexio; jego utwory są wszystkie narodowe. Proćz twórczego gieniuszu posiada on czarowny pezel, rozkoszne barwy fan-

tazyi, prawdziwy zapał i ogień młodzieńczy, którym przejęte są jego zwięzłe i dzwięczne rymy. Pietnaście lat przeminęło od pojawienia się Frytiofs-Sagi a narodowy entuzyazm który wznieciła w całej Skandynawii dotąd nie ostygł. Wszystkie prawie stany deklamują na pamięć różne z tej powieści wyjątki, u każdego ziemianina, u każdego wiejskiego pastora dają się widzieć po ścianach ryciny różne jej sceny przedstawiające, i nie raz podróżny usłyszy te rymy w pięknych melodyach szwedzkiego kompozytora Kruzella. My wiec przekładając ten mały wyjątek mieliśmy na celu choć słabe dać pojęcie naszym czytelnikom o téj skandynawskiej Epopei i zwrócić ich uwagę na podobne wzory narodowej poezyi którą się Szwedzi poszczycić mogą. —

2) Torsten ojciec Frytjofa, Bele król ówczesny.

(3) Helge i Halfdan synowie Beli.

(4) Starożytny sposób liczenia na północy, dziesięć dwunastek stanowiło *wielkie sto*. (120)

(5) Jul święto u Skandynawów z wielką obchodzone uroczystością w środku

zimy, w czasie przesilenia dnia z nocą, nasz nowy rok prawie odpowiada jemu. I za chrześciaństwa zatrzymano to nazwisko. —

(6) Oden, król bogów, naczelnik A-zów, wnuk Bura który powstał z kamienia przy stworzeniu świata. Z braćmi swoimi Fil i Fe utworzył z drzewa pierwszą parę ludzi: Oska i Emblę. Był on bogiem wojny, poezyi i wymowy. Podobnem jest do prawdy że pod nim ubóstwiali Skandynawowie jakiegoś króla który zwycięzko przybył na północ od południa-wschodu. (p. p. 14)

(7) Freja małżonka Odena, bogini miłości, włosy miała złociste i była szczególnej piękności,

(8) Gandwik, morze białe.

(9) Braga (potomek Odena) bóg poezyi i wymowy.

(10) Mimer właściciel studni mądrości i rozumu, siedział przy korzeniu Ygdrafilu (pięknego jesionu) do którego się Azowie dla sądzenia zgromadzali. Mimer

pił codziennie z tej studni i jednemu Odenowi z niej pić dozwalał.

(11) Karły za pomocą ognia wyrabiali różne ozdoby, mianowicie broń wyborną.

(12) Greningazund między Zelandyą. Moer i Falstor.

(13) Ulleroker starożytne Szwecyi królestwo.

(14) Azowie naród który zamieszkiwał na wschodzie; stolica jego Asgaard, a król Oden. Część tego narodu pod przewodnictwem Odena przybyła na północ i wyższą swą cywilizacyą wzbudziła podziwienie w mieszkańcach północy tak że ci dowódzców ich za bogów poczytali.

(15) Hildur bogini wojny.

(16) Waulund bohater bajeczny i fabrykant broni; poeta naznaczył mu czynność Wulkanowi właściwą.

(17) Soqwabäck, mieszkanie Sagi, bogini sag i historyi: pochodziła z potomstwa Odena.

(18) Balder, syn Odena, piekny i urodziwy młodzieniec, miedzy wszystkiemi Azami najłagodniejszy, najmędrszy i najwymowniejszy. Matka jego Fryga broniła go od wszelkich niebespieczeństw, lecz Loke duch złośliwy użył sposobu dla zadania mu śmierci. Przy powszechnem bogów żalu ciało Baldera było spalone na stosie. Nanna jego małżonka równie umarła z rozpaczy i oboje razem byli spaleni.

(19) Forseta syn Baldera i Nanny bożek sprawiedliwości, czczony szczególniej na wyspie Helgoland.

(20) Rada jesienna, główny sejm, tyng, u Skandinawów.

(21) Smok, Ślimak, nazwiska okretów.

(22) Egir, bóg morza.

(23) Uczta żałobna po której dziedzic wstępował w pełne swoje prawa.

(21) Drapa, poema pogrzebowe opiewające czyny nieboszczyka.

(25) Tor, podług Eddy, syn Odena, bóg piorunów. W Norwegii i Islandyi

odbierał cześć przed Odenem. Ozdoby jego były: młot znak zwycieskiej siły: pas— który podwajał moc jego, i blaszane rękawice. —

(26) Walhalla, raj w niebie dla poległych wojowników. —

*D.*



## Do Julii.

Błysła droga ognista spadającej gwiazdy,
Blaskiem lamp pałających świecą się ulice,
Gdzieniegdzie tylko słychać grzmoty prędkiej jazdy.
Gdzieniegdzie się odezwie czujna straż stolicy.

Ten czas jest dla spoczynku, a mię smutek truje,
Próżno się utrudzone zamknąć oko silę;
Myśl moja w kraj pamiątek bez snu ulatuje,
Gdzie niegdyś upłynęły życia mego chwile.

Pamiętam niegdyś dzwonek klasztorny swém brzmie-
niem
Zwoływał towarzyszów młodych do gromady,

Serce niebyło jeszcze znajome z zmartwieniem,
Nie znałem ani świata, ani losu zdrady.

Przeznaczenie, niestały czas wszystko odmieni,
Znikła radość prawdziwa jako snu marzenie.
Zamilkł dzwonek klasztorny w powietrznej przestrzeni,
I dzwoni tylko w myśli jego tęskne brzmienie. —

Wpłynałem na burzliwe morze tego świata,
Nie dla tego by skarby bogate dobywać,
Lub też sława ogłosić życia mego lata,
Ale że każdy musi po tych falach pływać. —

I kiedy jasne niebo skryły nieszczęść chmury,
I groźnie zaszumiała przestrzeń wód głeboka.
Błysła śród chmur przedemna piękna gwiazdka z góry, —
Ato było spotkanie pierwsze twego oka!

Mniemałem że ta gwiazdka co mym rzadzi losem
Rokowała szczęśliwa w żegludze odmianę,
Ośmielony jak gdyby przewodnika głosem
Zwyciężę groźby morza, w cichym porcie stanę. —

Nie dla mnie ta na niebie gwiazdka w pięknym blasku!
Zaszła ona i pękla nadziei kotwica;
Uległy przeznaczeniu nim zginę na piaskn,
Płynę powolny burzy, gdzie mię wir pochwyca. —

*Jan B.*

# TRYOLETY.

1

Czarodziejko z czarnem okiem!
Spojrzyj na mnie — albo zginę;
Złota gwiazdka za obłokiem
Nic tak jasnem patrzy okiem,
Wstydzisz gwiazdki i kalinę
Twemi ustki, twoim wzrokiem,
Czarodziejko z jasnem okiem
Nie patrz na mnie — bo ja zginę!

2.

Powój z lilią bukiet wije,
Zosiu do mnie, przy mnie, ze mną!
O skarby niedbam niczyje
Gdy przy sercu serce bije!
Zosiu luba bądź wzajemną
Mleczną dłonią otocz szyję,
Powój z lilią niech się wije!
Luba Zosiu przy mnie ze mną!

3.

Oj nie wiecie przyjaciele
Jak to ładnej dostać Zosi,
Próżno płakać, wzdychać wiele,
Oj niewiecie przyjaciele!
Mamę w rączkę pocałować,...
Papę winkiem poczęstować;
O tak, o tak się wyprosi
Rączka Zosi — przyjaciele!

*D.*



# SEN O ANTOSI.

Morfeusz często prawdę nam donosi,
A więc opowiem sen mój o Antosi.
Raz mi się śniło, ta piękna dziewczyna
Złowiła w siatkę bożka Kupidyna,
Łuczek, strzałeczki, pochodnię mu wzięła
I u skrzydełek pióreczka podcięła.
Nuż więc narzekać biedny mój chłopczyna!

Na płacz, na skargi, jęki Kupidyna,
Braciszków jego roje się zleciały:
Każdy miał kołczan, i łuczek, i strzały.
Całém ją wojskiem dokoła oblegli:
Ten się w niebieskie jéj pomieścił oczy,
Ów zaś w złociste uploty warkoczy,
Tamten na ustkach osiadł koralowych,
A ten na rączkach jéj alabastrowych,
Ów śnieżną szyjkę wziął pod swe władanie,
Inny na czole założył mieszkanie,
A każdy gdzie się pomieścił, tam żyje,
I kto się zbliży — pali, strzela, bije!
I cóż tu począć, proszę uniżenie?
Przecież Antosia powabne stworzenie,
Miłe, przyjemne, skromne i układne,
A przytém jakie u niéj oczki ładne!...
Czy to podobna aby od niéj stronić,
Ni się z nią spotkać, ni się jéj ukłonić;
Choćby te strzałki były i zatrute —
Ja się na takę niezgodzę pokutę......
Kiedym się we śnie tak z myślami kłucił,
W tém sen mię odbiegł — i jam się ocucił.
Lecz czy to sen był, o tém nie wiem prawie,
Wiele serc rannych widzę i na jawie!

*G. Szepielewicz.*

## Co to jest w artystostwie: podobać się. *)

Mówimy, że nam się podoba to, co sprawuje przyjemność. Utwory sztuk pięknych, iżby nam się podobały powinny sprawiać nam przyjemność. — Jakkolwiek ta opinia zastarzała i zdaje się być puścizną owej sybaryckiej filozofii, nie przypada jednak do smaku ludziom więcej zastanawiającym się, poniża bowiem godność sztuki. — Stąd przez ja-

*) Uwagi te zdawać się moga nie dosyć usprawiedliwionémi, sa bowiem tylko wyjatkami z obszerniejszego traktatu pod tyt: »*O idei pieknego, jéj ważność tudzież znaczenie i rola ideału w sztuce*,« — który dla szczupłości miejsca nie mógł być całkowicie w tém pisemku pomieszczony.

kąś analogię, najgrubsze roskosze nazwano poezyą. Lecz poezya w jakiej bądź sztuce, tj. uzmysłowienie idei pięknego ma początek daleko wyższy, w głębi ludzkiego ducha, w dążeniu człowieka do życia wyższego, doskonalszego, pełnego. Równie artysta jak widz i słuchacz czują potrzebę ci poezyi, tamten poetyzowania. Artysta widząc i pojmując z wyższego stanowiska ludzkość i jej historyę, czerpiąc życie wyższe, doskonalsze, którego historya, lub ludzkość nosi charakter zbiera w ideał to życie wyższe w swojej wyobraźni. I stan podobny, w którym dusza przepełniona wyższego, idealnego życia, jak chmura błyskawicy, stara się różnym sposobem uzewnętrznić i umateryalnić ten ideał, tę pełność i zbytek życia, nazywa się natchnieniem. Widz prosty, lub słuchacz ma wrodzone także dążenie i popęd do życia wyższego, idealnego. Niezdolny często sam wykryć estetycznej, czyli idealnej strony w przedmiotach, a tym bardziej uzmysłowić ją sobie, ponieważ nie jest tym twórcą któregośmy nazwali poetą, żąda wsparcia od sztuki, aby w jej utworach poczerpnąć to życie wyższe dosko-

nalsze, ku któremu wszystkie swoje usiłowania i chęci kieruje.

Tak więc, co powiedziano o sztukach pięknych, jakoby miały celem podobanie się i przyjemność. tudzież inne rozliczne korzyści społecznego życia, zdaje się być fałszywem. Ten hojny dar bogów, jakim są sztuki piękne, reprezentuje nam w swoich tworach, kres najwyższy naszego dążenia, życie wyższe, doskonalsze, pełniejsze, jak że go więc można tak poniżać nazywając środkiem przyjemności i rozrywki? I przyjemność i rozrywka, nauczanie, łagodzenie obyczajów i uszlachetnianie uczuć, to są tylko kwiaty, które rozsiewa drzewo sztuki w czasie swojego kwitnienia i na drodze wzrostu, ale nie sam owoc; owoc pozostaje przy samem drzewie, podobny jest do owego wiadomości złego i dobrego, tylko że każdemu dozwolone jego pożycie, lubo na nieszczęście nie każdy go pożywa.

Żeby sztuka kwitła nie dosyć jej mieć swoich kapłanów, potrzeba nad to aby lud przynosił jej także ofiary. Niedosyć w narodzie tworczych geniuszów, potrzeba żeby naród czuł potrzebę sztuki i po-

siadał w duszy do tego usposobienie. Jak pojedynczy często człowiek przytępić może w sobie uczucie estetyczne, przez oddanie się grubym roskoszom, uleganie namiętnościom i zniżenie się do stanu zwierzęcości, przez ubieganie się za materyalnemi korzyściami, tak cały naród niekiedy przy ogólnym upadku cywilizacyi wewnętrznej, prawdziwej, wstecz idzie swojemu wzniosłemu przeznaczeniu. — A z natury rzeczy wynika że sztuka przy tem skierowaniu będąc niepotrzebną i zbyteczną istnąć i kwitnąć nie może; i tak przeto ścisłym i wzajemnym węzłem jest sprzężona z cywilizacyą narodu, jego postępem w drodze doskonalenia się i wzrostu, potęgi, lub słabości, — Wytępienie więc i brak estetycznego czucia w narodzie, skażenie smaku obok kwitnienia nawet przemysłowości i rękodzielni, obok pozornej szczęśliwości i siły narodu wiedzie koniecznie za sobą upadek sztuk pięknych. Genialni w owczas artyści i wieszcze karłowacieją i więdną; głos ich jest głosem wołającego na puszczy. Upadek zaś sztuki jest groźnym zwiastunem wcześniejszego lub późniejszego upadku

politycznego narodu. Toż nam właśnie wszystko dowiodła historya najpierwszych państw w starożytności, Izraelitów, Greków i Rzymian, których najświetniejsza na pozór epoka przewagi politycznej, lub aleksandryjski peryod literatury greckiej w utworach poezyi pokazuje już upadek smaku. Zamiast żywych idej widzim w estetycznej formie rozumowe pojęcia, prawidła życia i prawdy naukowe. Stąd tych czasów utwory poezyi stanowi powiększej części dydaktyka, gnomika i epigramy. Taki kierunek wywołał i przeciwdziałanie; obudziła się lyryka elegiczna i satyryczna z całą swoją ponurą rzewliwością i goryczą, w zatrwożonych umysłach Jobów, Kallinich, Juwenalów, Tybullów, którzy lepiej od innych swych braci pojmowali chorobę w łonie ojczyzny i zbliżający się jej zgon.

Tak więc żadną miarą nie można godności sztuk pięknych zamknąć w słowie podobania się i przyjemności, chociaż z innej strony to cechuje większy, lub mniejszy stopień ich udoskonalenia. Lecz wyrażenie podobania się i przyjemności odpowiednie miało znaczenie i do-

brze wyrażało rozpustne życie Rzymian, powoli dzieciniejących i słabnących z ducha za czasów Imperatorów, kiedy bogaci przesyceni zbytku i roskoszy szukali jeszcze rozrywki w płochej grze imaginacyi, jak dziecię w lekkich i na grze słów zasadzających się zagadkach swojej niańki. Poezya dla Rzymian była dopełnieniem ich słodyczy, a nie potrzebą niezbędną ich duszy. Toż znaczenie zatrzymała w przedostatnich czasach władania scholastyki i klassycyzmu. —

Że z resztą utwor sztuki nam się podoba sprawia przyjemność i rozrywkę, to pochodzi stąd, iż podwyższa nasze życie, uwalnia go od doczesności i przypadkowości, ubezwarunkowia, czyli uidealnia. W takiem życiu idealnem znajdujemy szczęśliwość, jakoweś wewnętrzne uczucie wielkości, szczęście, obraz szczęśliwości przyszłej, wiecznotrwałej, ostatecznego celu wszelkich usiłowań i mozołów doczesnych. —

## O wyrażeniu ideału w świecie zewnętrznym i o stosowności formy dla niego.

.. .. Ideał przechodząc ze świata umysłowego, z życia swobody wstępując do grubej materyi, poddaje się jej ciękim więzom, przyjmuje na się jej prawa, utraca wiele ze swej doskonałości, tej pełności i samodzielności, jaką posiadał wprzódy. Ideał doskonały żyje tylko w wyobraźni artysty; lecz ta doskonałość ta pełność w urzeczywistnieniu, jest nie do osiągnienia dla artysty, choćby najlepiéj władnącego swoim materyałem. Któryż malarz, choćby sam Rafael i A-

pelles, który rzeźbiarz, choćby Kanowa i Zeuxis, albo z resztą który z poetów, wyraził zupełną doskonałość swego ideału? Czy który był kontent ze swego utworu i przyznał go zupełnie takim, jakim go widział w swej wyobraźni, choćby od całego świata odebrał pochwały, od wszystkich znawcow był osypany oklaski, koronowany. Ow powie, że płótno, że marmór pożarł jego ideał i skrył w swych martwych wnętrznościach, ten się żali, że jego myśli i uczuć ludzie niewyczytają z dzwięków, porównywa się z będącym w letargu, który czuje się żywym i nieznajduje sposobu wydać znak życia by grobu uniknął — Lecz takie przeznaczenie człowieka na ziemi, taka dola pośrod ułomności i nietrwałości tego świata, który tak jest przeciwny, tak wiecznie i zapalczywie walczy ze światem idej, ze światem swobody i doskonałości, z życiem wyższem.

Cokolwiek człowiek przedsiebierze we wszelkich swoich postępkach, działaniach, we wszelkich życzeniach i checiach, ma przed sobą pewien, względnie do własnego usposobienia i ukształcenia mniej wię-

céj doskonały ideał, który w ciągu swojego postępowania pragnie urzeczywistnić, lub zbliżyć się ku niemu. Przedwieczna Mądrość stwarzając nas i przeznaczając do ciągłego doskonalenia się, i zbliżania ku życiu doskonałości i wiecznemu, każdemu udzieliła cząstkę imaginacyi, te ideały ciągle przed nami uobecniającéj, i nadziei, która nas wiecznie ku nim prowadzi i unosi, nawet i wtedy dodaje wytrwałości i pociechy, gdy widoczne niepodobienstwo ich urzeczywistnienia. Jakże nieporównanej ceny są te dwa dary niebios! Cóżby człowiek znaczył na ziemi pośród tych brył grubéj materyi, nietrwałéj, pośród tych przemiennych zjawisk i ruchów, jeśliby mu fantazya jakby instynktowo niewykrywała idej odwiecznych, życia doskonałości, swobody i szczęścia, a nagiéj i grubéj materyi nie otaczała jakąś czarnoksięską mglistością, miłą i zapominać nam każącą o przemienności i ułomności życia ziemskiego, gdyby nie ożywiała przed nami zamarłéj przeszłości, gdyby na polu przyszłości nie tworzyła nam ideałów, ku którym wiecznie z zwodniczą dążym radością.

Nieszczęsny, kto zerwie tę mamiącą zasłonę fantazyi! — Lecz są jeszcze inne dary niebios, które nas nie odstąpią, dodają pociechy nie chwilowej, niezwodniczej, lecz wiecznotrwałej i prawdziwej, nie odstępują nas, chyba sami przeciw nim jesteśmy. Czysty rozum wsparty objawieniem chrześcianskiej religii, sam zdolny nam odkryć wieczne ideje harmonii i porządku, dobroci i miłości, potęgi i mądrości wszechmocnej; które się od wieków przejawiają, tak w moralnym jak i fizycznym świecie *). Te wszystkie ideje mają swoje jedno ujęcie, czyli jest ideał najdoskonalszy, ideał najwyższej

*) Wymównie odmalował te prawdy Silvio Pellico, dzisiejszy poeta włoski; zamknięty w wilgotnej ciemnicy pełnej dokuczliwego robactwa, bezsenny na ołowianém łożu, pożerany od goraczkowej febry, tworzył sobie obrazy uśmiechające i pełne romantyzmu. »W tém okropném, mówi on, miejscu pełném jednak wielkości, obcowałem z tym, który jeden na mnie patrzał, polecałem mu swego ojca, matkę i wszystkie jedne po drugiej lube dla mnie osoby. Zdawało mi się że go słyszę mówiącego: »Niech moja dobroć natchnie ci zaufanie! i zawołałem: tak Boże! ufam w Twojej dobroci! —

potęgi, wszechmocności, mądrości, dobroci, miłości, nieskończony, wieczny, absolutny. On sam się przejawia swoją mocą i wolą. Budowa świata jest jego cudownem i wiecznie żyjącem przejawieniem. Ponieważ zaś ten ideał jest najdoskonalszy, stąd przejawienie jego nosi piętno najwyższej piękności. Najcelniejszą częścią tego przejawienia, czyli urzeczywistnienia jest człowieczeństwo. Wolna i rozumna wola człowieka, myśl i jego geniusz jest najbliżej przejawiający się ten najwyższy Ideał. Najcelniejszą i najwymowniejszą w tém przejawieniu pięknością jest kobieta; jej łagodne słodkie, oddychające młodością i świeże oblicze, oko pełne ognia i czucia, delikatność i miękkość płci, jest wyrażeniem dobroci, miłości; jak równie mocna i muskularna budowa męszczyzny, potężna i atletyczna oznacza siłę i potęgę, zdolność do dzieł wielkich, bohaterczych przedsiewzięć, siłę twórczą i burzącą, — przymioty, które razem i ztamtémi kojarzone, wzajemnie się harmonizując, są obrazem najwyższej doskonałości.

Ideały człowieka są tylko słabe od-

blaski i cienie różnych stron najwyższego Ideału. — Człowiek stwarzając ideał, w pewnym względzie jest sam tym ideałem, ponieważ duszą podnosi się do jego doskonałości, wlewa weń najwyższy stopień swojego życia, pełnego i swobodnego, całym swym duchem żyje wówczas w tym ideale. Lecz ideał-człowiek nie jest toż samo, co ideał-Bóg; człowiek jako część bóstwa co do duszy, może się duszą wznieść do idealności; lecz jako człowiek, ograniczony, pozbawiony mocy stwarzania z niczego. Jeżeli chce swoje idealność przejawić, jak ją przejawił Bóg w budowie świata, bierze dla tego celu części materyi już stworzonej, która traci tym sposobem życie jakie posiadała przy całości. Jakoż najzręczniejszego malarza pęzel, czyż odda w zupełnej świeżości i wdzieku barwy rozlicznych kwiatów, jasność jutrzenki, lub różnowzory warkocz tęczy? Dzwięk najmelodyjniejszego instrumentu nie wydaż się martwym w porównaniu z dzwiękiem żyjącym różnych ptaszat i głosem człowieka. Sama poezya zaś jeżeli zdaje się być najdzielniejszą między sztukami pięknemi, to stąd, iż naj-

prościej działa na wyobraźnię, idealnemu w prost podaje idealne. Ale natura tylko jest tém wielkiem dziełem, w którém jednocześnie patrzym na cudowne obrazy, słyszym najrozmaitszą muzykę i czytamy najwznioślejszą poezyę; — jednocześnie w tem jednem dziele — natura, które człowiek w różnych sztukach naśladować usiłuje, widzimy najwyższą piękność, piękność wiecznie żywą, świeżą, niepokalaną.

Tak przeto natura może nam służyć wzorem wszelkiej najwyższej piękności, ale natura tylko uważana w całości i wtém żyjącém połączeniu, które polega na ideach odwiecznych. Pojedyncze bowiem części tego cudownego przejawienia się najwyższego Ideału, nie zawsze noszą znamie doskonałej piękności, lecz harmonizują się z swoją całością. — Śpiew słowika, szum bałwanów, huk grzmotu, szybkość błyskawicy, lub czerwoność jutrzenki, zieloność krzewów, rumieniec róży, osobno brane, jak jedno wyrażenie z wielkiego poematu, lub jeden akkord koncertu zaledwie co wyrażają, lecz kto się temu wszystkiemu razem i okiem duszy przypatrzył i przysłuchał, nie znajdzie słów

na wyrazenie uczucia jakiego wtedy doznawał. W naturze tylko samej najdoskonalej się równoważą idealność z materyalnością, duchowność z fizycznością; w dziełach sztuki jakże trudno o podobną równowagę! Ileż to dysharmonii między ideą a zewnętrzną formą. Wynika to w skutek uzewnętrznienia idei w niewłaściwej narodowości formie, jaką jej nadaje artysta. Co więc powiedzieliśmy o narodowości idej rościąga się i do formy — Forma bowiem wynika z natury i charakteru idei; przeniesiona przeto od innej narodowości idei, rzadko się zgodzi, rzadko przypadnie swoim krojem. *) Narodowość, czyli właściwość formy niepowinna być lekce ważoną przez artystę, lecz za to najwięcej zależy od jego biegłości i znawstwa sztuki... * *

*) Uwaga ta zdaje mi się być ważna: wieleby może form u nas w poezyi zostało wyrzuconych, lecz więcej by doskonalszych, przyjemniejszych, zgodniejszych z duchem sławiańszczyzny wprowadzili, gdy by się chcieli zastanowić nasi pisarze, którzy bez krytyki jeśli już nie od starożytnych to od zachodu wszystko przejmuja, nieraz obok narodowej dumki mieszczac dziwaczna dla nas balladę, lub romans. —

## Napomnienie Matki.

Wiem że to w Polsce i niedaleko,
Żył pewny szlachcic poczciwy;
Domek miał piękny nad Niemnem rzeką
A chociaż biedny, szczęśliwy.

Jakże i żona dobra, cnotliwa
Dzieliła trudy kłopoty,
Był u nich synek, matka troskliwa
Uczyła wiary i cnoty.

Józio co tylko miał siedem latek,
Na oknie dziwy odkrywa,
I poglądając na róży kwiatek
Tak się do matki odzywa.

Spóyrzyj tu mamo, dziwne zdarzenie:
Listki tej róży jak gdyby
Ku sobie ciągną słońca promienie,
Do szklannej kłonią się szyby.

Uczynię zadość Józiu twej chęci,
Niech ciebie przykład ten wzruszy,
Niech moje słowa zawsze w pamięci,
I zawsze będą w twej duszy.

Patrz jak ozdobna róża kwitnąca,
Takim i tobie być trzeba,
Jak ona listki wznosi do słońca
Tak wznoś twe myśli do nieba.

Różę polewam w lato gorące,
Bawi mię barwy ubiorem,
Kłoni się k' słońcu, bo to ja słońce
Maluję pięknym kolorem.

W kwiecie lat twoich ile mam troski,
Broniąc od złego nałogu,
Bóg ci dał życie za ten dar Boski,
Pamiętaj modlić się Bogu.

Niech cie cnót kwiaty zdobia obficie,
Badź bliźnim twoim życzliwy,
Kochaj rodzicow i całe życie,
Bedziesz spokojny, szczęśliwy.

W pamięci Józia matki przestroga,
W pamieci zawsze ta rada,
Spojrzy na róże, westchnie do Boga,
I łza mu z oka upada.

Stróż Anioł kroplę tej łzy pochwyca,
I składa przed tronem Boga;
Bóg dom rodziców łaska zaszczyca,
Bo łza modlitwy jest droga.

Czasu pewnego powstaja chmury,
Wiatr szumi i burzy fala,
Okropny piorun upada z góry,
Sasiednie domy zapala.

Gdy wiatry wszędzie ognie rzucały,
Wieś cała płomień zachwycił,
Józia rodzicow był domek cały,
Bo Anioł jego zaszczycił.

Był Józio zawsze przykładem cnoty,
I miał wszystkiego dostatek.
By wmówić dzieciom dobre przymioty
Najlepsza nauka Matek.

*J. Barszczewski.*



# GŁOWA I SERCE.

Co to za dziwne stworzenie to serce,
Rzekla raz głowa z szyderczym uśmiechem.
Jabym przysięgła, w pustej tabakierce
Więcej jest czucia jak w tem sercu lichem.
Małe, zamknięte, zwatlone i drzace
Siedzi, jak baba, sród domku swojego...
A ja?.. Świat winien mi laurów tysiace!
Śmiałe pomysły — godłem życia mego,
Czyn nieśmiertelny — jest moim pomnikiem,
Gdy zechcę — myśle, — o czem myślę — piszę,
Jeszcze nie skończe, a już wszędzie słysze
Jak mię świat cały witajac z okrzykiem
Sypie oklaski! — Uprzedzonej głowie
Słyszac to serce z skromnościa odpowie:
Na có mi tłumów znikome pochwały,
Na co mi szału odgłosy zwodnicze,
Gdy w własnem łonie ukrywam świat cały,
Gdy kryje szczeźcia źródło tajemnicze;
Bo wszystkie czastki świata sa spojone,
Boskiej miłości odwiecznem ogniwem,
A któż jest jeśli nie serce natchnione
Miłości świętej zrzódłem wiecznie żywém. —

*L. P.*

# Do Przyjaciół.

Dziś jeszcze ja z wami te chwile przyjemna
Przepedzam wesoło i mile;
Lecz wkrótce gdzież bede — i cóż bedzie ze mna?
Czyż znajdę przyjaźni gdzie tyle?

Opuszcze was — rzuce, przyjaciele młodzi!
W świat szumny obrocę me kroki
Na kruchej — na słabej życia tego łodzi
W burzliwe sie rzuce potoki.

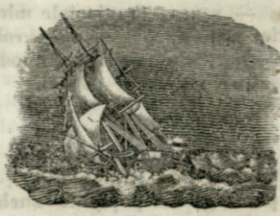
Łódź śmiało się puści na burze i fale,
Przez burze i fale popłynie,—
Przez wiry, przez głebie popłynie zuchwale,
Ale zaguby nie minie.

Bo predzej czy później, śród odmętów świata,
Niezłomne napotka przeszkody
I wściekłość burz jego jej spój porozmiata,
I żeglarza pograży w wody. —

Ach! zbierzcie się w tenczas przyjaciele młodzi!
Samotny proch zbierzcie żeglarza,
Nie dajcie mu zginać w nieznanej powodzi
I wśród niezuanego smetarza.

Rekami własnémi usypcie mogile
I łzami ja skropcie swojemi,
Łzy wasze mi beda natenczas tak miłe
Jak wy mnie byliście na ziemi. —

Wilno.
30 Czerw. 1838. *St. Lachowicz.*



# NADZIEJA.

*Szkic fantastyczny.*

»Za mną, za mną Lachu młody
W Muhammeda kraj niżowy
Wieńczyć sławą młode skronie;
Tam majowe krasi błonie
Dywan kwiatów purpurowy,
Tamto wschodniej cud przyrody,
Gdzie nad modre Kaspu fale
Rubinowe wstają zorza,
I haftują brzegi morza
Muszle, perły i korale.

Biegnij, biegnij — tam winnice
Rozcieplone słońca grotem
Ścielą grona złotej krasy,

Tam palmowe kwitną lasy
Pod jaskrawych gwiazd namiotem,
I Edeńskie krasawice,
I kalifów odalissy,
I haremy i huryssy.«

Tak dziewica w pełni wdzięku
Na młodziana stokroć woła,
Od śnieżnego pięknej czoła,
Brylantowy krąg jaśnieje,
Listek lauru w drobnem ręku,
Pukiel włosów bursztynowy
Na Zefiru skrzydłach zwiewa,
Lekka kibić jej odziewa
Promień tęczy szmaragdowy.

Stanął młodzian zamyślony,
W idealnej ściga toni
Obraz szczęścia — i zuchwały
Lotem ptaka, lotem strzały
Za zwodniczą marą goni —
Goni widmo — on szalony!

Wiatr jesiennym świsnął rankiem,
Brzęknął dzwonek przed krużgankiem,
Na krużganku stali społem,
Tęskna matka i rodzina,

I druhowie i dziewczyna
Z łzawém okiem z smutném czołem.

Badźcie zdrowi, badźcie zdrowi!
Błogosławcie tylko droge,
Zostać nie chce i nie moge —
Coż szaleńca zastanowi?

Śród zimowej mgły, zamieci,
Trójka wronych przez step leci,
Zal wedrowca dusze pali,
A złowrogi spiży dzwięk,
Z echem smutny wtórzy jek,
Dalej — dalej, dalej — dalej! —

Jak posepny blask ksieżyca
W szybach lodu połamanych
Kryształowe zdradza skazy,
Tak zaskrzepła łza żrzenica
Ślaki stepów przemijanych
Snuje w dzikie, mdłe obrazy,
Tylko wichry i tumany
I slup drożny malowany.

Już na obcej dzikiej stronie
Śród skał, stepów i rozłogów —
Tam Dnieprowskich szum porogów

Tam kozacka łodź na Donie.
Hej kozacze! dzwięcznie, żwawo
Zanóć dumę dońskim tonem,
Twojej czajki chyży bieg
Z pędem wichru bystra nawa
Na Czerkaski zwracaj brzeg;
I ot czajka już za Donem,
Coraz nowe ziemie, grody,
Nowe bogi i narody.

I przez buhry, przez czahary
Na azyjskie pędził jary
Gdzie brzmią pieśni Al-Koranu
Gdzie Kaukazu śnieżne czoło
Sięga niebios — a wokoło
Nurty Kaspu i burzanu.

A przed masztu bystrym lotem
W nowym blasku i uroku,
Tocząc rydwan po obłoku,
Wijąc szczęścia kołowrotem
Taż niebianka krasawica
Woła: za mną chłopcze luby
Tam kraj szczęścia, wieniec chluby —
To nadzieja — to zwodnica!

Płynie koncha w morskiej toni
Cień uroczy przed nią goni,
Coraz dalej czernią skały,

Koncha modry nurt rozcina
To pogrąży między wały
To się wzniesie pod niebiosa,
Stąd perłowa kropi rosa
A tam sterczy łeb Delfina.

Od zachodu wicher niesie,
Listek drobny liść zielony,
Stepnym wiatrem wysuszony
Co w ojczystym rozkwitł lesie,
A na listku czułe słowa
Znana ręką nakreślone:
»Wracaj, wracaj w ojców stronę,
Tutaj przyjaźń dla cię chowa,
We łzach w smutku przypomina
Druh twój wierny i dziewczyna« —

I zawrzała krew młodziana
W tęcz zieloną utkwił wzrok
Spojrzał przed się — uwielbiana
Do zachodu zwraca krok.
Znów za zwodnym biegł obrazem
Już, już . . . chwyta za kraj szaty
Znowu znika cień skrzydlaty
Zawsze blisko — nigdy razem!

*A. K.*

Kizłar. 1838.

# OSTATNIA PIEŚŃ.

Gromadnie tocza sie chmury
Po czarnem niebie, wiatr wyje,
Słychać szum lasu ponury
I fale co w brzegi bije,
I jak bór jeki wydaje
Pod cieżkiem burzy brzemieniem,
I jak o górne gór kraje
Deszcz metnym bije strumieniem.
Jak wicher huczy i świszczy
I piaskiem, liśćmi zamiata
I zda sie jakby nóż kata
Nad drżaca natura błyszczy...
— To gieniusz, anioł ruiny
Nawiedził ten kraj surowy
I w przerażenia okowy
Spetał pokoju krainy!

Posepna strona! tam skał gromady
Po nad przepaście wznoszą swe czoła,
Błyszczą się świetne tam wodospady
I fale morza szumią dokoła....
I gdzie urwiska, ciemne parowy,
Pienią się wiecznie bystre potoki,
I jakby całun grobowy
Nad niemi czarne obłoki.

Ale śmiertelnik te miejsca omija,
Tu ledwie puszczyk zamieszkać może,
Lub w rozpadlinie gnieździć się żmija
Lub wilk przytułek mieć w nocnej porze.

Lecz któż to śród czarnej nocy
Nie czuły na burzy jęki,
Drwiąc z wszelkich nadziemskich mocy
Oparty stoi z cytarą w ręku!
Głuchy, nie czuły na wściekłość burzy,
Sam w swojej zamknięty duszy,
Ni dzikość kraju czoło mu schmurzy
Ni odgłos gromów nie wzruszy.
I jakby z objęć śmierci ockniony
Duch grobów, gdy mu przyświeca
Bladawy promień księżyca:
Tak stoi on niewzruszony!

Nagle zabłysło w myśli wspomnienie
I ręka struny cytry przebiegła,

I głośniej nad ryk strumieni
Nad gromów bicie pieśń się rozległa:

»Próżno was wzywam do boju
Morweny, Lochlinu wodze!
Nie ujrzy już oko moje
Waszych piersi obcych trwodze,
Ni blasku waszych pancerzy
Ni dzwięku hartownych tarczy
Ni kopii co postrach szerzy
Ni strzały co jak grom warczy.
Wróg śmiały już bez obawy
Wznieci zuchwale bój krwawy!

Gdzieżeście rycerze moi?
Was kryje mogiła twarda
I już u grobu podwoi
Osierociliście Barda!

»Przyjaciele życia wiosny!
Przypomnijmy wiek nasz młody
Jak śród uczt hucznych i piosnek
Płynęły chwile swobody,
Przypomnijmy życie nasze
I pozdrówmy je wspomnieniem
A wychylając te czasze
Smutek niech w radość zamienim.
Los oszukajmy na chwilę
I spędźmy ją z sobą mile!

Lecz głeboka cisza wszedzie,
Milcza góry, milcza lasy,
I tylko z daleka czasem
Błysna groby w długim rzedzie.

»Powstań przyjaciołko moja!
Niechaj widok twego lica,
Cierpienia serca ukoi
I dusze niechaj zachwyca!
Osusz oko łza zaciekłe
Podziel radość i nadzieje,
Niech z ustami usta spiekłe
I serce z sercem się zleje;
Twym pocałunkiem uspokój,
I przywróć stracony pokój.

Ale jak senne marzenie
Tyś znikła Minwano tkliwa!
Napróżno moje wspomnienie
Z głębi mogiły cię wzywa!...

Od przyjacioł opuszczony
Sam na świecie bez rodziny,
Jakby jakiej rozwaliny,
Ułom w stepach zostawiony!....
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Lecz na głos starca powolnej
Śmierci już czuje zbliżenie,

Jak w żyłach krew krzepnie zwolna
I ciało wpada w drętwienie;
Wkrótce u tego kurhana,
Snem odtąd wiecznym odpocznę,
I trup starego Ossyana
Rozszarpią sępy żarłoczne!«

.... Umilkł i dzikie dzwięki
Na lekkich strunach skonały,
Osłabły palce skostniały,
I cytra wypadła z ręki...

I coraz bardziej ścichało,
I coraz rzadziej błyskało,
I już po nad czarne skały,
Żarłoczne sępy latały!...

*A. M. Ż.*

## Fragment.

Wsparty o złomy granitnych skał
Zachodniej ziemi wędrowiec stał,
I z pochyloną na ramię głową,
Dumał posępną pieśń narodową.

Po jednej stronie szum morskich wód,
Po drugiej — Wołgi burzliwe fale,
Ze stepów dźwięki azyjskich ód
I kraczą orły na wzniosłej skale.

Utonął w myślach — dla myśli wtór
Teskny kaukaskich słowików chór;
W tem z parochodu w portowej bramie
Mignęło krasnej bandery znamię.

»Witam druhu! rozjaśń lice,
Skad ten smutek na twém czole?
Czemu stoisz zamyślony
Z złożonemi w krzyż ramiony;
Stań młodzieńcze w naszém kole,
Wnet podejma nam kotwice,
My za twoje, ty za nasze
Wznieśmy zdrowia pełne czasze.
Wiwat morze! druhu mój
Leta źródłem zapomnienia,
Ty tesknote i marzenia
W szamachiński *) utop zdrój —
Niebo jasne, ciche wody
Neptun zdarza błoga chwile,
Skoro zbiegniem bez przygody
Wiry znane w morskiem łonie.«
»Kto w odmecie smutku tonie,
Niedba gdzieby woda niosła,
Znasz ty w nurtach myśli Scyllę?
Tam żegluga uczuć wieczna
Bez kotwicy i bez wiosła
Stokroć bardziej niebespieczna,
Znasz młodości mej ofiary
I płomienna moje duszę!
Piłem nektar z życia czary,
Nazbyt krótko nektar piłem
Na dnie piołun zostawiłem
Dzisiaj piołun wypić musze.

*) Szamachińskie wino używane w kaukaskich prowincyach.

Gdzie dom ojców, gdzie rodzina,
Gdzie przyjaźni szczera dłoń?
I ognista lubej skroń,
I różane lubej lica!
To mi zawsze przypomina
Burzliwego serca szał,
Ta niebieska krasawica
Zdobi Litwy piękne błonie —
Ja — w dalekiej dzikiej stronie
Śród Kaukazu czarnych skał.

Lecz co się stało, już nieodstanie,
Rozwińcie żagle wznieście kotwice,
Nie strwoży arfy Eola granie,
Niech nam przyświeca grom, błyskawice,
Na modre łona
Pędź łódź Charona!

Głucho na dzikim, przestronnym stepie,
Step coraz dalej — wiodę wzrok śmiały
Po safirowym niebieskim sklepie,
Sklep się jednoczy z falami morza,
Jaśnieje blada wieczorna zorza
Czernią się w dali nadbrzeżne skały.

W szarym tumanie znak Muhammeda,
Z muzułmańskiego lśni minareta
Echo przynosi odgłos daleki,

To derwisz z Mulła — wschodniemu panu
Szła z biegiem wiatrów w świątynię Mekki
Na dziką nótę — hymn z Al-koranu.

W pienistych falach już słońce tonie,
Z jego warkocza złocista wstęga,
Od stropu niebios do stóp mych sięga
Lejąc ostatni blask purpurowy
Na kryształowem kaspijskiem łonie,
I jeszcze widny blask jego wdali
Co się na szczytach Kaukazu pali.
O sen wspaniały wschodniej przyrody!
Tylko go przerwie głuchy dźwiek fali
I szum kamysza wiatrem zm acony,
Meteor wstęgę ognistą pali *)
W haremie niebios budząc noc ciemną —
Od przeciwległej zac hodu strony,
Król nocy podniosł jaskrawe lica
I odbił blask swój w zwierciadłach wody,
Gwiazdy nademną , gwiazdy podemną,
I dwie jaśnieją t arcze księżyca.

Tu od zachodu wietrzyk powiewa,
To pożądane zefiru tchnienie
Z przyjaznej piersi niesie westchnienie,

*) Często widzieć się dają kule ogniste przelatujące w powietrzu w południo-wschodnich krajach.

Które się z mojém westchnieniem zléwa
I słuch wytężam — luby uroku!
To dzwieki mowy rodzinnej słysze...
Nie! to jest tylko senne złudzenie
Śród rozmarzonych myśli natłoku,
To wiatr sitowiec stepny kołysze.

I nad zachodem gwiazda jaśnieje,
Tam patrzac smutne godziny licze,
Bo w jej obliczu, widze oblicze,
Które w mej duszy błogo istnieje
Gwiazdka daleko — dalsze nadzieje! —

Radbym w letargu tego marzenia
Prześnić godziny, lata i wieki,
Zbiegłe me szczeście i czas daleki
Nim błyśnie kiedyś... chwila zbawienia.

Noc rozrzedniała — jakaż tam łuna
Czerwieni w górach niebios obłoki?
Czy palma płonie strzała pioruna?
To Ceren-Arszy pala się zwłoki.

Arsza był panem gór Besz-barmaka,
To wódz tysiaca górnych kozaków
Nadeń nieznano Kirgiz-kajsaka,
Prorok go przyzwał do swych biwaków.

Stanałem u podnóża ede ńskiego tronu,
Kto uwielbiasz nature, kto znasz tajnie świata
Tu biegnij — tu kres znajdzie twoja myśl skrzydlata
Tu zeguiesz dumne czoło pod stopnie Syonu.

Nademna w gwiazdnym wianku plonie jasne
słońce
Otoczone filarów granitnych szeregiem,
Z brylantowych ich kropel nieznużonym biegiem
Ryczy Terek ze skały na skale stracany.

Tam po ślaku teczowym nad kraina wschodu
Toczy rydwan Allaha w błekicie chylatu,
A śród niebios przestworza — to most Al-szyratu
Zawieszony przed brama proroka ogrodu.

Tu zadrzyj — zimna trwoge w twojém sercu
budzi
Wbity kolos*) ze spiżu w twarda pierś opoki —
Jeśli niedość masz siły, zatrzymaj twe kroki
Bo niekażdy te ścieżke śmiał przestapić z ludzi.

Sto lat sterczy posepnie śród Kaukazu góry —
Jedno ramie wzniesione w Bogów pomieszkanie,
Drugiem groźnie wskazuje w bezdenne otchłanie,
I do ducha przemawia odgłosem natury.

*) Krzyż przez Piotra W. postawiony.

Tu orła lot nie sięga — niżej sarny ślady,
Ciemnym płaszczem odziewa skałę czarna sosna,
Niżej z kwiatów kobierce ściele wieczna wiosna
Niżej palmy zielenia, niżej — winogrady —

O! Kirgiza dzielny koń!
On się rodził śród tych gór,
On nie zlęknie szumu chmur
Nie utrudzi cuglem dłoń,
Jego stajnia — skał pieczary,
Jego lekkie śmiałe stopy
Chyżym pędem Antillopy
Przeskakują skał wiszary.
Parsnął rumak dzielny żwawy
Do łąk znanych, znaną drogą
Stąpa śmiała, pewna noga,
Niżej — niżej — z zimy w wiosnę,
Z wiosny w lato *) — a tam trawy
Wokrąg czystych zdrojów rosną.

Ho! jam zwycięzca — cel dokonany!
Co świat ponuro biegnie rok cały,
To zbiegł wędrowiec młody, zuchwały
Nim się nachylił dzień do zachodu,

*) Na górze kilka stopni zimna, u podnóża góry nieznośny upał. Przez wąwozy i góry przenoszą konie h o r c ó w bez kierowania niemi.

Nim się nachylił dzień do zachodu,
Widziałem roku cztery odmiany,
I czego siła męża nie złamie,
Może pokonać młodzieńcze ramię, —
Tam błyszczy lampa Ekater-grodu.

*A. K.*

Astrachań. 1837.



* * *

## Oh amore!

*Francesca da Rimini.*

Kochać, — niebyć kochanym, truć swe lata młode,
Za rospacz i za męki, za łzy, za cierpienia,
Za czyste, — za niewinne, — młodzieńcze uczucia, —
Odbierać śmiech szyderstwa, pogardy spojrzenia,
I pomału, — nieznacznie pić kielich zatrucia....
Nie! to niewarto!.. Lepiej w życia wiośnie
Lodem swe serce okryć, — zamrozić uczucia.
I nie czuć, — ach tak! — nic czuć — nieszczęsny kto czuje,
Nieszczęsny! — w kim za młodo serce bić zaczyna,
W kim się drzewo uczucia za młodu rozrośnie....

Komu aniołem błyśnie przed oczy dziewczyna....
O! Młodziencze! młodziencze! nie kochaj anioła,.,
Niekochaj, — nie uwielbiaj, — i nie wierz dziewczynie,
Zamknij twe oczy, serce — i bież na pustynie;
Bo jeżeli zostaniesz, — pokochasz anioła, ...
Zginałeś, — strułeś młodość... Za miłość twa czysta, —
Ty w nagrodę otrzymasz lodowe spojrzenia.
I uśmiech naigrawczy — pogardę wieczysta, —
I śmiech żółcia zaprawny - na twoje cierpienia..

A chociażby cię nawet darzyła spojrzeniem,
Spojrzeniem i uśmiechem, przyjaznem, miłośném,
Ach! nie przyjmuj uśmiechu ze sercem radośném,—
Nie wierz jej: — bo kobieta kochać nie jest w stanie,
Ona kochać nie może; — próżne twe wołanie:
U niej czucie jest lodem, — a serce kamieniem;
I gdy powie ci — »kocham« — powiedz jej że kłamie:
Ona kochać nie może, — złoto jej kochanie,
Złoto, — sława, — honory i marny blask świata
Do nich jej serce bieży — i myśl jej ulata...
A gdy nic nie masz z tego, tylko serce czyste,
Tylko miłość młodziencza, — czysta i niewinna,
Jaka się aniołowie kochaja, — nie inna...
Bież z tym darem daleko od twego anioła:
On cie pojać nie zdoła, i kochać nie zdoła!

Wilno. *St. Lachowicz.*
12 Lipc. 1839.

# Fantazya.

Nad morzem słońce wieczorem
Różowym miga kolorem,
Rybka chlubiąc się swobodą,
Podskokiem błyska nad wodą.
Lecz ktoś idzie cichym krokiem,
Tam po brzegu, smutku mrokiem
Twarz posępna otoczona,
Dusza w myślach pogrążona,
Erazm tułacz w cudzej ziemi,
Pomiędzy ludźmi obcemi,
Gdy serce pełne goryczy;
Pamiątki przeszłych chwil liczy.
Ireny pierwsze spojrzenie
Wznieciły w duszy płomienie,
Wdzięczna mowa, czarnym okiem
Zwyciężyła; lecz wyrokiem

Znaglony rzucić nawieki
Poszedł w kraj obcy, daleki.

Lekkim powiewem wietrzyka,
Drzy nad morzem blask promyka,
Lekkie obłoki pogoda,
I na niebie i pod woda.
Jakaż to morska dziewica
Piękna postacia zachwyca?
Upadaja z czarnej kosy
Brylanty jasnej rosy,
I nad woda kryształowa,
Wabi wzrokiem, w dzieczna mowa.
Erazmie jaka zgryzota
Nie spokojne serce miota?
Nie truj myśli niepokojem,
Chodź do mnie, w mieszkaniu mojem
Żyć przyjemnie, w wód krysztale
Mamy muszle i korale,
Pereł drogich błyszczy wiele,
Złota rybka biega śmiele,
I ja z toba, tylko za to
Serce będzie twe zapłata. —
Raz poznało serce trwogę,
Uczuć dzielić mych niemogę,
Raz kochałem, raz narzekam,
Tak jak jednej śmierci czekam.
Znikła w morzu pograżona
I grożace fal szeregi,
Uderzyły z szumem w brzegi.

Gasnał dzienny promień jasny,
Płonie jeszcze zachód krasny,
Głos pasterskiej zmilkł muzyki,
W lesie jęczy gołab dziki,
Milcza deby stojac w cieniu.
Erazm idzie w zamyśleniu,
Dusza marzy o przeszłości,
Jakiż przy nim cud piekności?
Boska twarz jej i uroda;
Czy to przy nim Nimfa młoda?
Czy to Flora łak królowa,
Uwieńczona róża głowa,
Śniezna reke na ramieniu
Jego kładzie, w jej spórzeniu
Oczu jasnych coś czaruje,
Sercu, duszy rozkazuje,
Tak przerywa wdzięcznym głosem
Czarna myśl wpojona losem.
Zapomnij na czas zmartwienie,
Patrz, jasne niebios sklepienie,
Wietrzyk trawki nieporuszy,
Tylko burza w twojej duszy.
Zyj tu ze mna, z gestym cieniem
Gaje beda nam schronieniem,
Aprzy pierwszej gwiazdki blasku,
Gdy zakwili słowik w lasku,
Gdzie po wonnej biega łace,
W strumyku wody mruczace.
Będę się z toba przechadzać,
Przywiazaniem mem osładzać
Zycie twoje; lecz mi za to

Serce będzie twe zapłata —
Raz kochałem, raz narzekam,
Tak jak jednej śmierci czekam.
Tak rzekł, błysnał gniew w jej oku
I jak mara znikła w mroku.
Razem niebo sie zachmurza,
Grzmi zgeszczona czarna burza,
Wiatry wyja las sie chwieje,
Deszcz potopem grożac leje,
Woda szumi z gór potokiem,
Wszystko skryła noc przed okiem,

Idzie Erazm w sercu trwoga,
Już i północ, burza sroga,
Szumia dęby, błędne kroki
Zatrzymuja wód potoki,
Alić oto widzi bliska,
Jakaś chatka — w oknie błyska
Swiatło ognia, deszczem zlany
Spoczać wszedł pod dach słomiany;
Tu staruszka w kartach bada,
Oczy wpadłe twarz jej blada,
Czarnych kotek tłum, zrzenice
Ich błyszczace jakby świece,
Ona milczenie przerywa:
Siadz tu gościu — noc burzliwa,
Spocznij nieco — ja sie dowiem
I o losie twoim powiem.
Twoje serce smutek truje,
Myśl daleko ulatuje,

Lecz naprózne twoje chęci,
Szczeście roisz w twej pamięci,
Za uczucie twe zapłata,
Przywiazanie jak dla brata —
Raz doznało serce trwogę,
Uczuć zniszczyć mych nie mogę,
Raz kochałem, raz narzekam,
Tak jak jednej śmierci czekam.
Grzmot zahuczał, wicher ryknał,
Deszcz wnet lunał, domek zniknał,
Błakaja się martwych cienie,
Krzyże, mogiły, kamienie.
Na smetarzu wył wiatr srogi,
Szumia jodły; pełen trwogi
Stoi Erazm, jednym mgnieniem,
Stał sie grobowym kamieniem,
Choć nań ranek promień rzucił,
Lecz do życia niepowrócił.

Te ballady mej rojenia
Podobne do snów marzenia;
Julio! lecz życie człeka,
Czyż nie tak jak sen ucieka?
I snów okropne widzenia,
Czestokroć prawda zamienia.

*J. Barszczewski.*

# Słowik i Róża.

(*do K. G.*)

Na dolinie, w noc majowa
Nad kochanki — róży głowa,
Słowik nóci pieśń miłosna....
A gdy złota błyśnie zorza,
Młoda róża, — jak dziewica.
Zarumieni wstydem lica,
Skapie rosy łza perłowa,
I oczęta swe rozmruży, —
Słowik leci w lice róży,

Pije rosę z róży lica
I całuje.,. i całuje....

O Litwinko jasnowłosa!
Tchnie roskosza róży rosa, —
Lecz w twych ustach sa — niebiosa!

1839. *St. L.*



# LISTA PRENUMERATOROW.

Abramowicz Anna.
Abramowicz Joanna.
Abramowicz Antoni.
Abramowicz Konstanty.
Adamkowicz Michał.
Aleksandrów Mikołaj.
Angel Karolina.
Angel Eliza.
Angel Gustaw.
Azarkiewicz Jan.

Bachałowicz Erazm.
Barok.
Bartoszewski Jan.
Bażeński Michał.
Bilewski Tomasz.
Biliński Benedykt.
Bloch.
Bobiński Wincenty.
Bohdanowicz Bazyli.
Bohomolcowa Leokadya.
Bohuszewicz Józef.
Bohuszewski.
Bohusz Paulina.

Bopakowski Józef.
Borowski Stanisław.
*Hrabia* Branicki Władysław.
Bucelski Tomasz.
Buchholtz Julian.
Bujalski Fr. Jakób.
Bujnicki Józef.
Bujnicka Austerberta.
Buszyński Ignacy.
Butkiewicz Aleksander.
Buttler Laurenty.

Chmielewski Stanisław.
Cienkowski Leon.
Cybulski Julian.
Czerwiński Andrzej.
Czerwiakowska Adelaida.
Czarnocki.

Dangel.
Darowska Petronella.
Dawid Jan.
*Ksiądz* Dawidowski Tomasz.
Dębicki.
*Hrabina* Dębowska.
Dembski Ignacy.
Dmóchowski Adolf.
Domaniewski Jan.
Drozdowski Stanisław.
Domejko Kazimierz.
Durassewicz Przemysław.
Dżunkowski Stefan.

Einerling Jan.
Euoch Julian.
Ellenbogen Aleksander.

Faniutka.
Fergis Ignacy.
Filipowska Zofia.
Frankowski Konstanty.
Frejend Hippolit.

Gasowski Paweł.
Giecewicz Józef.
*Książe* Giedrojć Konstanty.
Giedrojć Konstaucya.
Gimbutt Karolina.
Glinka Felix.
*Książe* Golicyn Paweł.
Gorecki Romuald.
Górzyńska Marcyanna.
Grabczyński.
Grodzki Aleksander.
Grozmani Józef.
Gumiński Władysław.
Gumiński Felix.

Hejnrich Józef.
Hryniewicz Konstanty.
Hryniewski.
Hube Romuald *R. S.*

*Hrabia* Iliński Benedykt.
Izmajłowicz.

Jabłoński Wincenty.

Jakóbowski,
Janczewski.
Jankowska Aniela.
Januszkiewicz Onufry.
Jarzyńska Teofila.
Jasiewicz Kazimierz.
Jermołowicz Tomasz.
Jeruzalski Felix.

Kalisz Aleksander.
Karpowicz Karol.
Kesowski Jan.
Kipajtuło Piotr.
Kirchner Wincenty.
Kleszczyński Antoni.
Kłosowski Ferdynand.
Kobialkowska Paulina.
Koczan Damazy,
Koczarowski Narcyz.
Komornicki.
Koncza Medard.
Konopacki Xawery.
Kontowtt Marcelli.
Kopłewska Zofia.
Koplewski.
Korsak Julia.
Korwell Karol.
Korbut Józef.
Kosicka Maryanna
Kostrowicki Aleksander.
Kosman Władysław.
Koszkowa Alina.

Kowalewski Gracyan.
*Ksiądz* Kozłowski Stefan.
Krajewska Honorata.
Królikowski Michał.
*Baron* Krauze Michał.
Krusiński Jacenty.
Kruszczyński Konstanty.
Krzywiec Wincenty.
*Ksiądz* Krzyżanowski Józef.
Krzyczkowski Piotr.
Krzywicki Kazimierz.
*Ksiądz* Kulwiński Ignacy.
Kurzeniecki Józef.
Kułakowska Genowefa.

Lachowicz Izabella.
Lachowicz Emilia.
Laudyn Cypryan.
Laurysiewicz Konstanty.
Lendzewicz Antoni.
Lex Józef,
Lewicki Teodor.
Lutowski Kajetan.
*Książe* Lubomirski Konstanty.

Ławrynowicz Andrzej
Łukowicz Adolf.
Łukaszewicz Piotr.

Maciejewicz.
Mackiewicz Aleksander.
M. J.
Maczewski Konstanty.

Majewski Alfons.
Maksymowicz Karolina.
Malinowski Władysław.
*Hrabina* Manuci-Plater.
Marcinkiewicz-Dunin Wincenty.
Mazurkiewicz.
Medeksza Piotr.
Mickiewicz Józef.
Mickiewicz A. Napoleon.
Mikulski Adolf.
Mioduszewski Aleksander.
*Księżna* Mirska Wirginia.
Misiński Paweł.
Morgenstern Bernard.
Morel Onufry 2 Exemp.
Moritz Adolf.
Moryc
*Hrabia* Morykoni Lucyan.

Nakielski.
Niełowicki Henryk.
Nikonowicz Dominika.
Nowicki Hilary.

Okryński Longin.
Okulewicz Julian.
Opicz Edward.
Orda Edmund.
Ordyłowski Wiktor.
Ordynicc.
Orwid Cezary.
*Ksiądz* Orlowski Maxymilian.

O... Marya Ludwika.
Ostaszkiewicz Józefa Ludwika.
Ostaszkiewicz Stanisław.
Ostrowski.

Pankiewicz Jan.
Pawłowicz Edward.
Pawłowski Wawrzyniec.
Peczarski Nikodem.
de Perthées Adela.
Petrykowska Xawera.
Pieczora Józef.
Pierling Józef.
*Ksiadz* Pieślak Roch.
Piotrowski Karol.
Piotrowska Aniela.
Pietraszewska Julia.
Pisarska Emilia.
Pisanka Rudolf.
Plawski Aleksander.
Podbereski Romuald.
Polujańska Antonina.
Połujański Aleksander.
Połujański Konstanty.
Pogorzelski Franciszek.
Popławski Władysław.
Popławski Roman.
Potrykowski Leopold.
Prozor Adam.
Przybora Wandalin.
*Ksiadz* Przyjałkowski Rajmund.
Przystański Stanisław.

*Hrabia* Przezdziecki Mieczysław
Puchowski Antoni.
Radzikowski Jakób.
Regulski.
Rodzewicz Jan.
Rodziewicz Teressa.
Rodziewicz Zenon.
Rokicki Józef.
Rolska Malwina.
Roman Jan.
Romankiewicz Józef.
Romer Seweryn.
Roselli Karol.
*Ksiądz* Rózewski Józef.
Rymaszewski Ferdynand.
Rynczewska Józefa.
Rynda.
Rudnicki.
Rudczyuski Ignacy.
Rus-Basza Ezechiel.

*Ksiądz* Sadkowski Aloizy.
Salamonowicz Tomasz.
Serafinowicz Antoni.
Serafinowicz Ignacy.
Sielski Edward.
*Ksiądz* Sienkiewicz Ferdynand 2 Exempl.
Sikorski Adam.
Skopnik Lucyan.
Skórzyński Franciszek.
Skrzędziewski Józef.
Sokołowski Felix. 22 Exempl.
Sokołowski Albert.

Sokolow Kapiton.
Sołonicyn Włodzimierz.
Starzyński Otto.
*Hrabia* Stadnicki Władysław.
Staniewicz Bolesław.
Staniewicz Józef.
*Ksiadz* Stauiewski Maxymilian.
Stefanowski Benedykt.
Strużyński.
Strygocki Aleksander.
Stirmer Eleonora.
Suchodolski Konstanty.
Suszczewski Wincenty.
Suski Roman.
Swiecznikow Piotr.
Syrewicz Donat.
Szemioth Stauisław.
K. Sz. F.
Sz. M.
Szczulepnikow Bazyli.
Sztek.
Sztokmarowa.
Sz. ...r Julia.
Szymanowska Marya.
Szydłowski Jan.

Talat Eustachy.
Termiński Józef.
Tukałło.
Tułowski Leopold.
Twardowski Edward.

Ulanicki Wincenty.

Waretty Lucyan.
Wasowicz Cypryan.
Wasilewski Antoni.
Wasiutyński Tomasz
Wambutt Hieronim.
Wejtko Antoni.
Widacki Stanisław.
Winiarski Teofil.
Wiśniewski Aleksander.
Wiszniowski Seweryn.
Witerski.
Witwicki Jan.
Wizierski Szymon.
Wołoszyński Longin.
Wróblewski Józef.
Wydzga Kamill.
Wysiekierski Władysław.

Zaborowski Zygmunt.
Zaleszczyński
Zbrożkowa Franciszka.
Zielaziewicz Rudolf.
Ziębowicz Ignacy.

Zabczyński Józef.
Zabokłicki.
Zolkiewicz Augusta.
Zołkiewicz Stanisław.
Żyliński Józef.
Żyzniewski Franciszek.